



ODGŁOSY

▼ ORKIESTRY PODWÓRKOWE: Fotoreportaż Włodzimierza Parysa ▼ Tadeusz Michalski — NIE CHCĘ SŁYSZEĆ O MATCE ▼ Karol Barszczewski — POLSKA VENUS OD TYŁU ▼ Edward Bryl — NIGDY NIE WRÓCĘ DO SWOICH DZIECI ▼ Barbara Nawrocka-Dońska — POSUCHA NA ROMANS ▼ Georges Simenon — WIĘZIENIE ▼ REPORTAŻE ▼ POLEMIKI ▼ RECENZJE ▼ FELIETONY
SEX W LITERATURZE



Fot. W. Parys

U JÓZEFA MIKOŁAJCZYKA ZEBRAŁA SIĘ CAŁA WIEŚ...

Czytaj na str. 3

FELIKS BABOL

OBYCZAJE RODAKÓW

O nieprzemijającej wartości czasu nie wszyscy jeszcze są przekonani. W niektórych przychodniach rejonowych, np. po wizycie u lekarza, który zdecydował się dać choremu ileś tam dni zwolnienia z pracy, trzeba przyjść jeszcze raz po to, aby je odebrać. Tak, jakby chory zbyt mało czasu stracił na zarejestrowanie się w przychodni i uzyskanie „numerka”, tak jakby tego zwolnienia nie mogła wypisać i dać do podpisu komu trzeba asystującą przy badaniu pacjenta „siła administracyjna”. Ten obowiązek przyjścia jeszcze raz do przychodni tylko po odbiór zwolnienia, zakrawa na nieporozumienie. Bo albo chce się zmusić chorego do zrywania się z łóżka, choć powinien zgodnie z zaleceniem — leżeć, albo namawia się go w ten sposób do szukania wyreki u pracujących członków rodziny czy u sąsiadów, którzy również na ogół pracują i którzy dla odebrania blankietu muszą się z pracy zwolnić...

Może by więc przychodnie uszanowały czas i przestały bawić się w niepotrzebne korowody?

PRZYKŁAD Z TELEFONEM

W jednej instytucji zepsuł się telefon. Ponieważ instytucja ta hierarchicznie podporządkowana jest swej centrali w Warszawie, więc na wiadomość o awarii telefonu warszawska centrala natychmiast przesyła ekipę naprawczą do Łodzi, aby usterkę w aparacie usunęła. Ekipa przyjeżdża samochodem, więc diet jest razem trzy, dochodzi koszt paliwa, stracony cały dzień pracy trzech osób itp., chociaż telefonicznie z Warszawy można było naprawę zlecić fachowcom łódzkim, którzy za fatygę policzyliby sobie około 50 zł. Po usunięciu awarii instytucja warszawska mogła-

by przelać należność na konto łódzkiej placówki usługowej. Operacja zamiast kilkuset kosztowałaby kilkadziesiąt złotych, a 3 ludzi w Warszawie mogłoby się w tym samym czasie zająć czymś pożyteczniejszym, niż jazda do Łodzi w sprawie zlecenia, którego wykonanie zabrało im 40 minut.

TROGLODYTA KOMUNIKACYJNY

Człowiek tym lepiej pracuje, im mniej jest w nim napięć nerwowych, im atmosfera wokół

Dalszy ciąg na str. 7

ALEKSANDER RUSS

AKCJA PAULUS

CZĘŚĆ I

Latem roku 1942 porucznik Aleksiej Samsonow otrzymał od wydziału specjalnego dowództwa frontu stalingradzkiego zadanie ucieczki do Niemców. Porucznik oświadczył w czasie przesłuchania na tyłach wroga, że jest byłym komendantem przeprawy przez ogarniętych paniką żołnierzy nakazał bez rozkazu wysadzić most w powietrze. Aby uniknąć aresztowania i rozstrzelania nie pozostało mu nic innego jak ucieczka.

Opowieść porucznika zainteresowała, zgodnie z przewidywaniami dowództwa radzieckiego, niemiecką Abwehrę. Przez wiele dni przesłuchiwano Samsonowa, kilka tygodni spędził w obozie jenieckim. Śledzono go, poddawano różnym próbom, ale

Dalszy ciąg na str. 7

BOGUSŁAW GOŁĄB

CZŁOWIEK W ZIELONYM SWETRZE

(KORESPONDENCJA ZE SZWECJI)

Szwedzki wiatr jest całkiem inny — zawodzi przeciagle, rozpaczliwie, donośnie. Jest wścibski i niezmordowany. Przenika do mózgu i serca. Przy krótkim dniu pozbawionym słońca, gdy wstaje się przy świetle elektrycznym, pracuje i wraca do domu również w blasku żarówek, jeżeli wieje ten cholerny wiatr, jeżeli ludzie ze względu na tempo pracy zamieniają ze sobą zaledwie kilkadziesiąt zdań, to można przestać się dziwić, że Szwedzi mają opinię ponurych, a liczba psychoneurwici osiąga kolosalne rozmiary.

Przy akompaniamencie wciskającego się wszędzie wiatru zdarzyła mi się właśnie ta historia...

Miedzy Instytutem Anatomii w Umea, a stolówką ciągnął się kilkusetmetrowy labirynt podziemnych korytarzy. Chcąc dostać się do niego należało zjechać windą do podziemi, jedno piętro poniżej parteru (tych pięter poniżej było kilka) a następnie, klucząc wśród białych otynkowanych korytarzy, znaleźć właściwą drogę do stolówki. Nie było to łatwe, ale bardzo wygodne, szczególnie zimą, gdyż unikało się w ten sposób kłopotliwego wkładania i zdejmowania zimowych okryć. Kiedy szło się na posiłki, spotykało się tu mnóstwo ludzi z różnych instytutów i klinik, pojedynczo lub grupami, galeria typów stukających białymi chodakami o be-

tonową posadzkę. Trzymanie się tych ludzkich strumieni ułatwiałoby wprawdzie znalezienie drogi w labiryncie, ale było również nieco żenujące.

Z czasem jednak polubiłem te podziemne spacerki. Miały one posmak jakiejś tajemniczości i niecodzienności. Szczególnie lubiłem chodzić w godzinach nietypowych, to znaczy na początku lub pod koniec przerwy posilkowych. Spotykałem wtedy, jak mi się wydawało, więcej oryginalnych typów, ludzi nieśmiałych, z kompleksami, o niepewnych ruchach, zmiennej grze twarzy, którzy nie zawsze wiedzieli, co robić z rękoma, dla których spotykankie w pustych korytarzach innych ludzi, wystawianie się

na ich spojrzenia było zbyt trudne.

Trudno mi właściwie uzmysłowić sobie, kiedy po raz pierwszy spotkałem „zielonego” i kiedy zacząłem go rozpoznawać. Był taki jakiś wymięty i wyprany z wyrazu, mam tu na myśli przede wszystkim jego twarz. Jedynie zielony golf, od którego nazwałem go „zielonym”, był pełen świeżej, soczystej barwy. Wzrostu był wysokiego, szczupły, lekko przygarbiony, o blond falujących włosach, jak wszyscy: w białych chodakach. Był właściwie przystojny, ale nie rzucało się to w oczy. Po kilku spotkaniach obraz jego utrwalił mi się wyraźnie, a przypuszczam, że i on też mnie zaczął rozpoznawać, czego

domyślałem się po jego spojrzeniu. Nieraz usiłowałem zgadnąć, kim może być i gdzie może pracować, ale nie mogłem jakoś wymyślić nic sensownego.

Do rozmowy doszło niespodziewanie w czasie ostatniej niedzieli przed Wielkanocą. W olbrzymiej sali stolówki obliczonej na kilkaset osób było nas zaledwie kilkoro, ponieważ w dni świąteczne większość pracowników stołowała się w domu. Stosy białych talerzy stały bezużytecznie, a puste transportery zbierające brudne naczynia krążyły bezcelowo,

Dalszy ciąg na str. 6



Fot. W. Parys

U JÓZEFA MIKOŁAJCZYKA zebrała się cała wieś. Gospodarze z Dymek nie wierzyli na słowo. Musieli zobaczyć na własne oczy. Stali przy wadze i sprawdzali.

Waga była w porządku. Oszustwo wykluczone. Więc co? Istna szarlataneria? Bo jakże inaczej? Mikołajczyk żyje i mieszka wśród nich. Gospodaruje na trzydziestu hektarach takiej samej, kiepskiej ziemi, jak i w całej gminie.

A tu naraz takie wyniki. Pięćdziesiąt siedem metrów pszenicy z hektara i trzydzieści siedem żyta. Do tego dodać buraki cukrowe: pięćset siedemdziesiąt kwintali z hektara. Mikołajczyk już od kilku lat zbiera coraz lepsze plony. A pomyśleć, że startował od siedemnastu kwintali z hektara. Przez wiele lat nie mógł pokonać tej bariery. Zwyciężył jednak ziemię...

POZNAŁEM ZIEMIĘ

Wjeżdżamy w podwórze zabudowane ze wszystkich stron budynkami. Piętrowy domek pokryty jasnym cementem kontrastuje z czerwonymi cegłami gospolarchyckich zabudowań i szarym potrzaskanym drewnem stodoły, zwieńczonej brudną strzechą.

Przed domem mały ciągnik i wiśniowy „Moskwicz”. Wokół domu — niskie ogrodzenie z gustownie powycinanych prętów pokrytych kolorową farbą.

— Taki okropny balagan, a tu goście w domu — sumiście się pani domu. Więcej w tym jednak kokieterii, niż faktycznego zażenowania. Kuchnia przecież zadbane i czysto wysprzątana. — Nie krawatuję się, Józek — woła Mikołajczykowa przez zamknięte drzwi do pokoju — bo przy tym balaganie nie ci to nie pomoże.

Gospodarz wychodzi — rzeczywiście, pod krawatem, w nonironowej koszuli i eleganckim garniturze. Wybiera się do Lututowa, na posiedzenie Komisji Rolnictwa Gminnej Rady Narodowej.

— Gdzie tkwi tajemnica mojego „szarlatanstwa”? — gospodarz zasiada za stołem. — Nie mam wykształcenia rolniczego, bo dwuletnia szkoła zaoczna niewiele się liczy. Staram się podchodzić do ziemi nowoczesnie. Najpierw melioracja. Zrobiliśmy to prywatnie przed kilkoma laty. Wtedy zaczęło się lepiej dziać w gospodarstwie. To jedna tajemnica. Moich wyników. Druga: intensywne nawożenie i dobre odmiany zbóż. No i może to jeszcze, że potraktowałem własną ziemię jak rolę doświadczalną. Co roku zmieniałem proporcje nawozów. Dobierałem coraz to inne odmiany. Co roku przeżywałem ogromny niepokój: uć się, czy nie? Chciałbym teraz spróbować hodowli. Z oasza nie mam problemów. Ale musiałbym rozwalić starą stodołę. Wybudowałbym nową, a w środku oborę, żeby z poddawaniem, azy nie było kłopotu. Nade wszystko liczy się czas... Chcę się wziąć za budowę jeszcze w tym roku. Ta stodoła obora, mała hodowla i wyniki w rolności byłyby moją cegiełką w budowie zwycięstwa gminy...

TAKA SAMA A INNA

DYMKI leżą na terenie gminy Lututów. Powiat — Wieluń. Województwo — łódzkie. Powierzchnia gminy — 7.636 ha. Użytki rolne — 6.424 ha. Lasy — 862 ha. Ludność — 5.800 mieszkańców. Sołectw — 20, obejmujących 36 wsi. Indywidualnych gospodarstw rolnych — 1.279. Państwowe gospodarstwa rolne — brak. Jedynie, działające na odrębnych za-

sadach, przy Technikum Rachunkowości Rolnej w Lututowie. Kółek rolniczych — zarejestrowanych 16. Działalność mechanizacyjną prowadzi 8 kółek.

LUTUTÓW — gmina jakich wiele. Dziś jednak — chociaż z nazwy — znana jest w całym kraju. Stąd padło wyzwanie do ogólnokrajowego zawodnictwa gmin w konkursie: „Gmina — mistrz „spodarności“.

Toczą się namętne spory: czy Lututów był faktycznie pierwszą gminą, jaka stanęła do konkursu, czy też został uprzedzony przez Ciechanowiec z województwa łódzkiego.

— Nie ma o co kruszyć kopii — twierdzi Janusz Frach z WK FJN w Łodzi. — Ciechanowiec uprzedził rzeczywiście Lututów o jeden dzień. Jest on jednak gminą miejską. Lututów zaś — gminą wiejską, a do takich konkursów był adresowany.

Z wielkością Lututowa też nie najprostsza sprawa. Sama wieś — to 1300 mieszkańców, 160 budynków zgrupowanych na uboczu od trasy E-12, na 104 kilometrze drogi z Łodzi do Wrocławia...

CO ZROBIĆ Z REMIZĄ?

Do Lututowa z autostrady zjeżdża się dość szeroka droga, po której bokach ustawione w szeregu, jeden obok drugiego, domy przywodzą na myśl ulicę małego miasteczka. Złudzenie to pogłębia się bardziej przy wjeździe na rynek. Tak, autentyczny, obszerny rynek: czworobok z niezbyt gęstą zabudową na pierzejach. Nad piętrowymi domami czynszowymi wznosi się wysoce, z jeszcze wyższą wieżą, budynek w pseudozakopiańskim stylu. Z poczerpnego drewna, kryty zdrową, czerwoną dachówką, z wiszącymi balkonami i dużymi oknami.

Ritus? Nie. Remiza ochotniczej straży pożarnej. Na piętrze, zaadaptowanym w czynię społecznym, świetlica tutejszego Ludowego Zespołu Sportowego.

— Budynek ten największy w Lututowie i całej gminie — wyjaśnia I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR — Feliks Kądziela — tak, jak wiele innych fragmentów Lututowa, nadaje mu wygląd miasteczka. W swych dzielach Lututów — wbrew pozorom — był co najmniej tak długo miastem, jak — wsia. Ma nawet własny herb. Prawa miejskie otrzymał w 1462 roku. Bodaj w XVII w. — na skutek uładku gospodarczego — utracił je. Nie bezpowrotnie jednak. Nie upłynęły dwa stulecia i za sprawą bieżącego rozwoju rzemiosła i skali je znów. Po raz drugi i ostatni utracił prawa miejskie po powstaniu s. czynowym.

Liezący bez mała 100 lat drewniany budynek, świadectwo miejskiej świet-

ności Lututowa, przestanie już wkrótce spełniać swe obecne funkcje. Strazackie wozy bojowe i młodzież z LZS przeniosą się niebawem do budowanego opodal, w czynię społecznym, Domu Ludowego.

Co wówczas ze starą remizą? Z jednej strony — kiepski stan techniczny. Z drugiej jednak — zrosnięcie się z pejzażem i historią Lututowa, który wyróżnia się na tle innych podobnych wsi i miasteczek tym zwłaszcza oryginalnym akcentem architektonicznym.

— Właściwie mieliśmy zamiar wyburzyć ten budynek — zastanawia się naczelnik gminy — inż. Bronisław Bera — ale kto wie, czy nie zmienimy decyzji. Niepowtarzalność naszej remizy podkreślana jest przez wszystkich przyjezdnych. Na pewno rynek i cały Lututów wiele by na tym stracił. No tak, ale stan techniczny... Rozbiórka kosztowałaby ze sto tysięcy złotych. Gdyby pieniądze te obrócić na remont? Na pewno społeczność gminy podchwyciłaby ideę ratowania najokazalszego budynku Lututowa, włączyłoby się z czyniami społecznymi...

ODWAGA

Od chwili, gdy Lututów zdobył się na odwagę i rzucił ambitne, bo zobowiązujące wyzwanie do rywalizacji, cała gmina żyje konkursem.

— I żyć nim będzie aż do rozstrzygnięcia wyników — podkreśla naczelnik powiatu wieluńskiego mgr Marian Gała. — Znam tutejszych ludzi. Znam ich ambicje i aspiracje. Wiem, że żyją w pełnej świadomości tego, że gmina wkroczyła w prawdziwy przełom. Niepozorna nie za bardzo wyróżniająca się w powiecie, niepostrzeżenie, wieloletnią pracą znalazła się na czołowej pozycji. I zeszłym roku osiągnęła doskonałe wręcz wyniki w rozwoju społeczno-gospodarczym, z solidną nadwyżką przekraczając plany w wielu dziedzinach.

Jednym z wielu atutów gminy w konkursowych rozgrywkach będzie bez wątpienia działalność Zenona Udalskiego, sąsiada Józefa Mikołajczyka ze wsi Dymki. Młody, przodujący rolnik, z wykształceniem agronomicznym, przedstawia się teraz całkowicie na hodowlę, doszłusowując do 19 specjalizujących się gospodarzy gminy.

13-LETNI TRAKTORZYSTA

Do Udalskiego jedziemy wybiłą drogą, wiodącą z Lututowa. Materiał już zwieziony. Wkrótce wsie ruszą do utwardzania drogi w czynię społecznym.

Przed nami terkocze miarowo traktor, prowadzony wprawą ręką kierowcy, który zrecznie omija dziury i wykroty. Tylko ten traktorzysta coś taki jakiś... mały. Zajeżdżamy mu drogę. Zatrzymujemy. Kilkunastoletni blondasek z sympatyczną, puciołową buzią.

— Hej ty masz, bracie, lat? — Ja? Ty? — Właśnie! — Jak się nazywasz? — Udalski, Rafał. — Tata wie, że tak sobie podróżuję?

— Ano, trochę wie, ale to polna droga, tu nikt nie jeździ.

Zenona Udalskiego odrywamy od pracy w obojętności. To już właściwie nie podwórze, to regularny plac budowy. Po prostokątnej do domu wyrosły mury wyższej od niego obory, jakiej nie powstydziliby się niejeden

przodujący PGR. Pomieści ona 50 sztuk bydła. Udalski buduje ją w dużym stopniu własnymi siłami — od maja zeszłego roku, wiosną chce wziąć pierwsze byczki na opas. Wszystkie czynności chce w oborze zmechanizować.

— Inaczej nie dalibyśmy rady. Brak rąk do pracy. Ot, chociażby mój Rafał, wielka jest wyreka w tej sytuacji. Kiedy miał dziesięć lat, jeździł już ze mną snopowiązałką. Tak, teraz dopadł ciągnika, żeby odstawić przyczepę do kółka rolniczego. Ludzie na nią czekają, ja się od pracy nie mogę teraz oderwać, a droga pusta i bezpieczna. Machnąłem ręką. Tym bardziej, że doskonale radzi sobie z

rolnicze w Świątkowicach. Chwilowo przerwa w budowie, bo pora na cieśnię. Kiedy tylko cieśnię skończy robotę w Piaskach, przykryją i ten okraglak.

Obok jednak, w długim białym wapnem pofołwarczym budynku, pochrząkuje już dobytek kółka rolniczego. Inna część majątku świątkowickiego kółka „garażuje” w obojętności jego dyspozytora — Bronisława Lordea. Ustawione w równym rzędzie na podwórzu cztery ciągniki.

— To nie wszystkie — wyjaśnia Lorde — trzy ciągniki chodzą przez całą zimę w Wieluniu. Posypują szosę piaskiem. Jeden to nawet jeździ przez całą dobę. Na okragło — z trze-

JACEK INDELAK

NA POCZĄTEK AMBICJA

kierownicą. W ogóle syn mi się udał: urodzony gospodarz...

GINIA SIĘ BUDUJE

Gdzie nie spojrzeć, tam świeże mury, wapno, cement. Zajeżdżamy do bazy kółka rolniczego w Piaskach, wsi sąsiadującej z Lututowem.

Dyspozytor bazy — Stanisław Woj-

ma kierowcami. Zimą u gospodarzy nie ma nic do roboty, a żal żeby się sprzęt marnował. Zyski z tego są dla kółka spore...

Za domem stoją pod gołym niebem inne maszyny. Zakonserwowane, częściowo wyremontowane. Właściwie gotowe już do wiosennych prac w polu...

Z takich „drobiazgów”, jak właśnie



Fot. W. Parys

cieśnię, wprowadza nas do niewysokiego, zgrabnego okraglaka z białych pustaków. Do jego budowy przytąpiono w listopadzie, a dziś cieśnię — Stanisław Cieśliński, Bro-

przygotowanie na czas całego sprzętu mechanicznego czy maksymalne wykorzystanie każdego traktora, wychodowanie jeszcze jednego tucznika i zebranie dodatkowego kwintala zbo-



Fot. W. Parys

nisław Jeziorny, Henryk Malik i Jan halski — kładą drewniany szpi-czasty strop.

— To szwedzki okraglak — mówi dyspozytor. — Projekt przystosowany został do miejscowych potrzeb. Nie czekaliśmy aż go skończy. Spie-ło nam się. Zaczęliśmy budowę według nie całkowitego projektu, a potem, co jakiś architekt przyjechał, to za każdym razem coś w projekcie zmieniał. Ale nie przejmowaliśmy się. Daliśmy radę. W tym tygodniu okraglak będzie przykryty, a w lutym wprowadzamy wniaki...

Identyczną tuczarnię buduje kółko

za, mieszkańcy i gospodarze gminy Lututów chcą utorować sobie drogę do konkursowej czołówki.

ROZSTRZYGNIECIE SPORU

A życie mimo woli rozstrzygnęło spór o to, która gmina była pierwsza. Lututów czy Ciechanowiec. Zdecydowała Telewizja Polska. Ircna Dziedzic, zaprosiwszy do udziału w kolejnym „Tele-Echu” inżyniera Bronisława Bera, zaprezentowała go telewizorom jako naczelnika gminy, która — pierwsza w kraju — rzuciła wyzwanie całemu krajowi.

Tłumaczył: R. WYSOCKI

— Długo zabawią u ciebie?
— Chcesz, to ich zapytam? Jak długo zamierzacie zabawić, moje dzieci? — Następnie do słuchawki. — Małe pół godziny... Chcą tylko zadać mi kilka pytań...
— Co im powiesz?
— A ty?
— Wyrzuciłem ich za drzwi.
— Niesłusznie.
— Przedtem chciałbym się z tobą zobaczyć.
— Teraz już za późno.
— Nie mógłbyś potem wpaść do mnie?
— Obawiam się, że nie będę w stanie prowadzić auta.
— Pileś?
— Normalnie.
— Nie sądzisz, że w takiej chwili...
— Właśnie w takiej chwili człowiek czuje potrzebę odprężenia.
— To ja przyjadę.
— Tutaj? Dziś wieczór?
— Koniecznie muszę z tobą pomówić.
— Dla kogo to konieczne?
— Dla wszystkich.
— A przede wszystkim dla ciebie nie?
— Będę za godzinę. Do tego czasu postaraj się zachować trochę zimnej krwi i godności.
— Ty będziesz miał tego za nas dwóch.
— Ani śladu wzruszenia w głosie szwagra. Ani słowa o Adriannie, którą teraz musieli krajać w Instytucie Medycyny Sądowej, ani o tym, co się stało z Kocurem.
— Słucham was, moje króliki... Po tym, co usłyszałem, niewiele już mam do powiedzenia... Wróciłem do domu, żeby przebrać się przed kolacją na mieście, w gronie przyjaciół... Spodziewałem się zastać moją żonę... W bramie czekał na mnie inspektor policji...
— Czy to on pana powiadomił?
— Tak...
— Nie... Chciał się dowiedzieć, czy posiadam rewolwer... Odpowiedziałem, że tak... Szukałem go w szufladzie, ale nie znalazłem...
— Młody człowiek zaprowadził mnie do swego szefa...
— Komisarza Roumagne?
— Istotnie, tak się nazywa...
— Ile czasu trwało przesłuchanie?
— Niecałą godzinę. Dokładnie nie wiem...
— Jaką była pana reakcja, kiedy dowiedział się pan, że pańska żona zabiła siostrę?
— Jestem ogłupiały... Nie nie rozumiem...
— Byli ze sobą w dobrych stosunkach?
— Tak jak dwie siostry...
— Pan przypuszcza, że zbrodnię popełniła w afekcie?
— W przypadku zabójstwa w afekcie zazwyczaj istnieje trzecia osoba...
— Właśnie...
— Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co to znaczy?
— Umilkł.
— Jeżeli taka osoba istnieje, ja jej nie znam.
— Niektórzy spojrzeli po sobie z powątpiewaniem.
— Szklanki puste...
— Napełnił swoją, wepchnął butelkę do rąk jednemu z fotoreporterów.
— Obszłuk kumpi, mój króliku...
— Czy pomagali pan żonie w jej pracy?
— Nie czytałem nawet, jej artykułów.
— Dlaczego? Uważał pan, że nie są interesujące?
— Przeciwnie! Chciałem, żeby czuła, że wolno jej pisać to, co ma na sercu.
— Czy nigdy nie miała ochoty pracować dla tygodnika „Ty”?
— Nie mi o tym nie wspominała.
— Czy byliście bardzo ze sobą żyłcy?
— Bardzo.
— Czy pan uważa, że była to zbrodnia z premedytacją?
— Tyle samo wiem, co wy... Nie ma więcej pytań?.. Jutro moje wymysły coś nowego i z pewnością stanę się na powrót normalnym człowiekiem... Na razie mam mełlik w głowie i czekam na szwagra, który nie chciałby was tu zastać...
— On pracuje w Banque de France, nieprawdaż?
— Zgadza się... To bardzo ważny pan i waz naczelny redaktor będzie wam doradzał obojędnie, z nim delikatnie.
— Przed chwilą przez telefon pan tego nie robił...
— Stare przyzwyczajenie. Zawsze byłem źle wychowany.
— W końcu wszyscy wyszli i Alain z żalem zamknął drzwi, rozejrzawszy się po pustych kieliszkach i butelkach, po fotelach i krzesłach, które poprzestawiano, po rozrzuconych na dywanie opakowaniach do kłisz. Omal nie zabrał się do porządków, następnie wyprostował się wzruszając ramionami.
— * * *
— Słyszał, jak winda stanęła, ale czekał, aż Blanchet zajął sobie trud i zadzwonił, jak człowiek. Ten jednak nie od razu się zdecydował, przez chwilę stał na klatce schodowej, być może, wahał się, albo chciał dodać sobie animuszu.
— Wreszcie dał się słyszeć dzwonek i Alain wolno podszedł do drzwi i otworzył. Nie wygiął się do przodu, jego szwagier też nie. Na sobie miał płaszcz pokryty kropkami i mokry kapelusz.
— Jesteś sam?
— Zdawało się, że jest nieufny i niewiele brakowało, a byłby poszedł sprawdzić, czy nikt nie podsluchuje w pokoju, w łazience i kuchence.
— Jak najbardziej!
— Blanchet jeszcze nie zdejmował płaszcza, nie wypuszczał z ręki kapelusza, przysiadł się kieliszkom i butelkom.
— Co im powiedziałeś?
— Nic.
— Musiałeś jednak coś odpowiedzieć na ich pytania. Jeżeli człowiek decyduje się przyjąć dziennikarzy...
— A co ty byś im powiedział?
— Blanchetowie, ojciec i trzech synów, byli wysokiego wzrostu, szerocy w barkach i w piersiach, dokładnie takiej tury, która nadawała im wygląd dostojny. Ojciec był dwukrotnie niższym, jeden czy drugi z synów będzie też któregoś dnia piastował takie sta-

nowisko. Spoglądali na wszystkich po-
blawie, z góry i musieli mieć tego
samego krawca.
— Mąż Adrianny zdjął wreszcie płaszcz
i rzucił na krzesło, a ponieważ Alain
należał sobie kieliszek, zaprotestował
pospiesznie:
— Dla mnie nie, dziękuję.
— To dla mnie.
— Zapadła długa i dość żenująca cisza.
Postawili kieliszki koło fotela. Alain
odruchowo podszedł do oszklonej ścia-
ny, pokrytej jeszcze tysiącami kropel
wody, z którą migotały światła Pary-
ża. W pewnym momencie stwierdził za-
skoczony, że przyszła czoła do szyby,
jak gdyby chciał się odświeżyć i nagie
cofnął się. Czyż nie w tej pozycji stał
Kocur, na ulicy Université, obok zwiok
Adrianny?
— Blanchet w końcu usiadł.
— Właściwie po co tu dziś przyszedł?
— Musimy się obaj zastanowić, tak
myślę.
— Nad czym?
— Nad tym, co będziemy mówić.
— Byliśmy już przesłuchiwań.
— Powierzchnie, jeżeli o mnie
chodzi, przez zastępcę komisarza, któ-
ry nie chce sobie komplikować życia.
Jutro albo pojutrze będziemy przesłu-
chiwani przez sędziego śledczego.
— Tak to się zwykle odbywa.
— Co mu zeznasz?
— Że nie nie rozumiem.
— Blanchet utkwił w nim natarczywy
wzrok, w którym widać było równo-
cześnie lek, złość i pogardę.
— Tylko tyle?
— Cóż bym miał zeznać jeszcze?
— Czy Jacqueline wybrała sobie ad-
wokata?
— Zdeje się, że zostawiła to mnie.
— Kogo wzięła?
— Nie wiem.
— Adwokat będzie miał za zadanie
bronić swojej klientki.
— Mam nadzieję.
— Używając wszystkich środków.
— Przypuszczam.
— Alain robił to naumyślnie. Nigdy nie
mógł ścierpieć swego szwagra, a je-
go obecna postawa budziła w nim o-
brzydzenie.
— Jaką przyjmie linię obrony?
— To jego sprawa, ale nie przypu-
szczam, żeby wysuwał argument samo-
obrony.
— A więc?
— A więc, co zamierzasz?
— Blanchet urażony wykrztusił z pewną
emfazą:
— Zdzajesz się zapominać, że jestem
mężem ofiary.
— A ja mężem kobiety, która z pew-
nością dobrą część swego życia spędzi
w więzieniu.
— Z czyjej winy?
— A ty wiesz z czyjej?
— Znowu milczenie. Alain zapalił papie-
rosa, poczuł Blancheta, który ru-
chem rąk odmówił. Co robił, żeby nie
stracił twarzy? Miał bowiem w głowie
tylko jedną myśl, dokładniej jedno py-
tanie i szukał sposobu, by je zadać.
— Komisarz pytał mnie, czy byliśmy
zgodnym małżeństwem...
— Alain nie mógł się powstrzymać, by
nie popatrzyć na niego krótko.
— Ja powiedziałem, że tak.
— Miał sobie trochę za złe, że tak po-
zwala brnąć temu ogromnemu poczu-
wemu mięczakowi i nie przyjdzie mu
z pomocą. A przecież zdawał sobie
sprawę z tego, ile szwagra kosztuje
ten spokojny ton.
— Oświadczyłem mu, że kochałmy
się z Adrianną tak samo, jak pierw-
szego dnia.
— Głos nabrał głuchego brzmienia.
— Jesteś pewny, że nie masz ochoty
czegoś się napić?
— Nie. Dziękuję. Z uporem wracał
do sprawy popołudni, nie wiem dla-
czego.
— Czyli popołudni?
— Adrianny, to jasne. Koniecznie
chciał wiedzieć, czy po obiedzie wycho-
dziła z domu, czy spotykała się z przy-
jaciółkami...
— A spotykała się?
— Zawsze. Często mieliśmy na ko-
lacji gości. Kiedy indziej chodziliśmy
na kolację do miasta. Czasami spoty-
kaliśmy się na cocktailu, na oficjalnym
przejściu. Niekiedy Adrianna chodziła
z dziećmi na spacer. Zabierała je ra-
zem z nią, do ogrodu botanicznego i
zoologicznego.
— Mówiłeś o tym komisarzowi?
— Tak.
— I wydawał się niezadowolony?
— Niezupełnie.
— A ty?
— Wtedy padło pierwsze wyznanie w
formie pośredniej.
— Ja też nie...
— Dlaczego?
— Bo dziś wieczór pytałem o to Na-
ne.
— Była to druga albo trzecia niańka od
czasu, jak przyszły na świat dzieci.
Każda dla uproszczenia nazywała Nana.
— Najpierw nie nie chciała mówić,
potem w końcu wyznała z płaczem, że
moja żona nie zawsze zostawała w o-
grodzie botanicznym, że wychodziła sa-
ma i wracała po nich dopiero w końcu
popołudnia.
— Kobiety mają zawsze jakieś zaku-
py.
— Widać było wyraźnie, jak polyka
ślizg, patrząc Alainowi prosto w oczy,
następnie opuścił powieki.
— Powiedz mi prawdę?
— Jaką prawdę?
— Nie zdajesz sobie sprawy, że to
niezbędne, że w ten czy inny sposób
oni do niej dotrą. Zostało ponowne
morderstwo i nasze prywatne życie zo-
stanie wystawione na światło dzienne.
— Alain nie mógł się jeszcze zdecydo-
wać.
— Poza tym, przyznam ci się, że ja
nie mogę.
— Nie dokończył i musiał zasłonić twarz
chusteczką. Trzymał się, jak długo to
było możliwe. Teraz się zalał. Alain,
zawstydzony, odwrócił głowę, dając
szwagrowi czas, aby się opanował.
— Następnie, wiedząc, że jednak trzeba
będzie przejść do wyjaśnień wychylił

jeszcze kieliszek. Nie lubił Blancheta.
Nigdy go nie polubił. Nie mniej zrobił
mu się go zał.
— Co chcesz wiedzieć, Rolandzie?
— Dziś wieczór, po raz pierwszy zwracał
się do niego po imieniu.
— Nie domyślasz się? Czy ty... Czy
ty i Adrianna...
— Dobrze! Schowaj tę chusteczkę do
kieszeni. Spróbuj wreszcie choć raz nie
mieścić uczuć i poczucia własnej go-
dności. Pomówmy jak mężczyźni. Zgo-
da?
— Odetchnął głęboko i mruknął:
— Zgadza.
— Przede wszystkim postaraj się zo-
rozumieć, że nie nabijam cię w butelkę.
To, co ci powiem, to stuprocentowa
prawda, mimo że niekiedy myślałem,
że jest inaczej. Kiedyś się poznaliśmy z
Kocurem, upłynęły miesiące, nim do-
szedłem do wniosku, że ja kocham. Ona
chodziła za mną jak piesek. Ja ze swojej
strony przyzwyczaiłem się mieć ją pod
ręką. Kiedy rozstawaliśmy się na kil-
ka godzin, ze względu na jej albo mo-
ją pracę, zawsze znalazła okazję, żeby
do mnie zadzwonić. Spaliśmy razem, a
kiedy budziłem się w nocy, macałem
pościel dotąd, aż ręka natknęła się na
jej ciało.
— Nie przyszedłem, żeby rozmawiać
z tobą o Kocurze.
— Chwileczkę. Dziś wieczór myślę ja-
sno. Zdzaje mi się, że po raz pierwszy
widzę rzeczy takimi, jakimi są. Przy-
szły wakacje. Ona musiała spędzić je
z rodzicami.
— Czy Adrianna była już w Paryżu?
— Tak, ale mnie Adrianna interesowa-
ła nie więcej, niż kanarek, znajdujący
się w pokoju. Kocur wyjechał na
miesiąc, a ja już po tygodniu byłem
wytrącony z równowagi. W nocy ręka
napotykała barok przesłania. W res-
tauracji, w barach, odwracałem głowę
w prawo i pochylałem się, żeby do niej
mówić.
— To był najdłuższy miesiąc w moim
życiu. O mały włos nie zadzwoniłem
do niej, żeby wracała za wszelką ce-
nę.
— Jej ojciec był profesorem literatury
na uniwersytecie w Aix-en-Provence.
Rodzina posiadała małą wille w Ban-
dol, gdzie wszyscy razem spędzali lato.
— Nie ośmieliłem się pojechać do
Bandol, bo rzuciłoby się to zbyt na
oczy. Kiedy wróciła nie byłem jeszcze
zdecydowany. Potem nagle, któregoś
wieczoru, w nocnym lokalu na lewym
brzeżu Sekwany, gdzie byliśmy z pa-
czką przyjaciół, zaopatłem ją czy chce
wyjść za mnie. To wszystko.
— To nie wyjaśnia mi...
— Przeciwnie, to wyjaśnia wszystko.
Nie wiem, czy właśnie to nazywają
miłością, ale tak się to wszystko odby-
ło. Przez pewien czas, byliśmy tu-
stanie i dnie chude. Jej nie udawało się
zamieścić artykułu. Ja nie wrażliwe
jeszcze na omysły, żeby założyć tygod-
nik. Adrianna grzecznie uczyła się
w pokoju.
— Nie wychodziła z wami?
— Od czasu do czasu. Nie mieliśmy
na to zbyt wielkiej ochoty. Może i ona
też nie miała ochoty. Lubiała spędzić
w swoim kącie, wpatrywać się prosto
przed siebie.
— I to wtedy?..
— Właśnie. Wtedy właśnie to się sta-
ło. Idiotycznie. Przez przewrót. Nie
umiałbym nawet powiedzieć, kto zrobił
pierwszy krok, ja czy ona. Byłem ko-
chankiem jej siostry. Inaczej mówiąc,
jej siostra miała męża, którego wyłącza-
ła siebie.
— Kochałaś ją?
— Nie.
— Jesteś cyniczny — rzucił zaczepnie
Blanchet.
— Nie. Uprowadziłem cię, że pomówimy
jak mężczyźni z mężczyzną. Ona miała
na to ochotę. Może i ja też miałem
chęć, choć by przebiegała, żeby
wiedzieć, co kryje się za tą zamkniętą
twarzą.
— I teraz już wiesz?
— Tak... Myślałem, że nudziła się...
— Tak więc, od siedmiu lat...
— Nie. Spotykaliśmy się nadal, tak
sobie od czasu do czasu.
— Co ty nazywasz od czasu do czasu?
— Mniej więcej raz na tydzień.
— Gdzie?
— Mało ważne.
— Dla mnie to ważne.
— Jeżeli chcesz wiedzieć to jak na o-
brażku, tym gorzej dla ciebie. W stu-
dio umebłowaliśmy na ulicy Longchamp.
— To ohydne.
— Nie mówię tej przecież prowadzić
na ulicę La Villière.
— Na ulicy La Villière pracował Blan-
chet, w pełnym przepychu gmachu
Banque de France.
— Ona poznała cię u przyjaciółki. Za-
lecałaś się do niej?
— Opowiadała ci o wszystkim?
— Przypuszczam.
— Nie pytała cię o radę, jeżeli już
tak było?
— Może.
— Jesteś niegodziwcem.
— Wiem, ale jeżeli będziemy tak ro-
zumować, to jest nas takich na ziemi
ładnych parę milionów. Za ciebie wy-
szła za mąż.
— Ale wciąż spotykaliście się?
— Rzadziej.
— Dlaczego?
— Bo teraz była panią domu. Potem
była w ciąży.
— Z kim?
— Z tobą, nie bój się. Ja zachowy-
wałem wszystkie środki ostrożności.
— To jeszcze całe szczęście! Nigdy nie
mówiłem o tym z Kocurem. A przecież
coś często zdarza się opowiadać jej
o moich awanturkach.
— Bo w tym samym czasie miałeś
jeszcze inne?
— Nie jestem urzędnikiem i nie mu-
szę dbać o nieskazitelność opinii. Jak
dziewczyna mi się podobała...
— Bierzysz ją i lecisz spowiadać się
żonie.
— Czemuż by nie?
— I utrzymujesz, że się kochacie!
— Nie podobnego nie utrzymuję. Mó-
wiłem, że brakowało mi jej, kiedy nie
była pod ręką.
— Mojej żony też ci brakowało?

— Nie. To stało się przyzwyczajeniem.
A może żadne z nas nie chciało martwić
drugiego zrywając. Mimo to, doszło do
tego, prawie rok temu, na dwa dni
przez Bożym Narodzeniem, 23 grudnia.
— Dziękuję za tę ciszę.
— Przecież dodać, że tego dnia do ni-
czego między nami nie doszło, poza
tym, że wypiliśmy butelkę szampa.
— Nie widywałeś się już potem?
— Ale nie we dwójkę?
— Nie.
— Przysięgasz?
— Jeżeli ci na tym zależy, choć nie
bardzo rozumiem, co to słowo oznacza.
Blanchet z wolna czerwieniał, aż w
końcu stał się jak burak, wyglądał jesz-
cze większy, jeszcze bardziej rozlały.
W gruncie rzeczy Blanchetowie ukry-
wali swoją rozłość pod dobrze skro-
jonymi garniturami.
— Jak to sobie tłumaczysz...
— Naprawdę nie chcesz się czegoś
napić?
— Owszem, trochę wódki.
— Wstał i pozostał w pozycji stoją-
cej po środku studia, jak oibrym
upiór.
— Trzymaj!
— Wszystkie teraz wyjdzie na światło
dienne, nieprawda?
— Obawiam się.
— Zeznasz to przed sędzią śledczym?
— Mam obowiązek odpowiadać na je-
go pytania.
— Dziennikarze domyślają się czegoś?
— Nie robił żadnych bezpośrednich
słuzi.
— Myśle o dziełach.
— Nie. Gdybyś ty tylko mógł nauczyć
się być szczerym wobec samego siebie i
patrzeć prawdzie prosto w oczy!
— Prawie rok...
— Przysięgam ci po raz drugi, jeże-
li ci na tym zależy.
— Zadaje sobie pytanie, dlaczego w
takim wypadku Kocur postanowił
nagle...
— Zabić siostrę. Mówmy jasno. Ja też
zadaje sobie to pytanie. Przecież wy-
chodząc z domu, wiedziała, że to zrobi.
Gdyby tak nie było nie zabrałaby ze
sobą swojego rewolweru, którego nigdy
nie wzięła od ręki.
— Po chwili milczenia Blanchet mruknął:
— Chyba, że był jeszcze ktoś trzeci.
— I spojrzal na Alaina przebiegła pewna
satisfakcja.
— Zastanowiłeś się nad tym? — na-
legal.
— Właśnie się zastanawiam.
— Jeżeli Adrianna miała kogoś inne-
go...
— Alain przecząco potrząsnął głową.
Tymczasem rysy Blancheta, przeciwnie,
stały się ostrzejsze, twardsze.
— Myślisz się. Stawiasz problem na
opak. Nie zapominał, że twoja żona
należała do niej, bo w jej pojęciu
należała do jej siostry.
— W ten sposób, że?
— Powiedziałabyś, że okazały
szwagier zaczynał się cieszyć. Nawet
jego sylwetka zaczęła nabierać jedno-
ści.
— Na nieszczęście to Kocur zaczęła
pierzyska jakiś romans. Adrianna zaś po-
raz drugi zrobiła jej kawał... Tylko że
tym razem Kocur miała tego dosyć i
definitywnie ją zlikwidowała.
— Zdzaje się, że za bardzo tym się
nie przejmujesz...
— Alain przyglądał mu się bez ruchu i
Blanchet wyczuł, że posunął się zbyt
daleko. Przez chwilę ogarnął go strach,
strach fizyczny, strach, że go uderzy,
że zrobi mu coś złego...
— Przepraszam cię.
— Alain pozostał jeszcze chwilę na
miejscu, ze szklanką w ręku.
— O! wszystko! — rzucił wreszcie.
I podchodził do baru:
— Każdy z nas ma za swoje.
— Będiesz o tym mówił przed sę-
dzią śledczym?
— Nie.
— Mówiłeś przed chwilą...
— Będzie mówił to, co wiem. Reszta
to przypuszczenia, a do tego on sam
dojdzie.
— Nie domyślasz się...
— Kto to może być? Nie.
— Przecież częściej widywałeś swoją
żonę, niż ja moją.
— Alain wzruszył ramionami. Jak gdy-
by w ogóle nie zwracał uwagi na to,
co robił czy też czego nie robił Kocur!
Jednego tylko od niej wymagał, aby
była przy nim obok, po prawej ręce,
na odległość jego głosu i jego ręki.
— Myślisz, że ona będzie mówić?
— Odmówiła odpowiedzi na pytania
komisarza.
— Ale jutro?
— Nie mam pojęcia. Osobiście gwi-
dę na to, kto to może być.
— Nie mieli już sobie nie więcej do po-
wiedzenia. Kreślił się tylko jeszcze po
rozległym studio. Alain, mimo że tyle
pił, nie czuł się pijany.
— Nie wracasz do domu?
— Ależ tak. Oczywiście. Wątpię jed-
nak, czy uda mi się zasnąć.
— A ja, przeciwnie, będę spał, jak
zabity.
— Blanchet włożył płaszcz, odszukał ka-
pelusz, zawahał się, czy podać rękę
Alainowi, który stał zbyt daleko od niego.
— Zobaczymy się któregoś dnia. Albo
jutro. Sędzia, być może, zechce nas
skonfrontować.
— Alain wzruszył ramionami.
— Postaraj się, żeby... nie mówiono
za dużo o Adriannie... żeby nie sądzić
jej zbyt surowo...
— Dobranoc...
— Dziękuję.
— Wyszedł nieporadnie, żłośnie, zam-
knął za sobą drzwi i zszedł na dół, nie
próbując wezwać windy.
— Dopiero wówczas Alain mógł sobie
nareszcie pozwolić na wydanie dzikie-
go krzyku.
— ROZDZIAŁ III

Zaczynało się dopiero rozwidniać
kiedy usłyszał nad głową jakiś głos, i
sprzątać musiała go mocno potra-
sać za ramię, by się obudził. Nazywała
się pani Martin. Przyszedła codzien-
nie o godzinie siódmej rano i wycho-
dziła w południe.
— Miała poważny wyraz twarzy i przy-
glądała mu się surowym wzrokiem.
— Kawa podana — oznajmiła sucho.
— Nigdy nie lubił, żeby ktoś okazywał
mu współczucie. Gardził wszelkim sen-
timentalizmem. Chciał uchodzić za rea-
listę, cynika, a jednak dziś rano nie
miałby nie przeciw odrobinie sympatii
ze strony bliźnich.
— Nie nakładając szlafroka, wszedł do
studia, w którym zapalone lampy wal-
czyły z szarym światłem z zewnątrz. Za
ogromną oszkloną ścianą rozpościerał
się mglisty świat: mokre dachy, niebo,
nie zaciągnięte wprawdzie /dramatycz-
nymi chmurami jak wczoraj, ale ponu-
ro szare, jednolite, nieruchome.
— Zazwyczaj widać było całą panoramę
od Notre-Dame do wieży Eiffa. Dziś
panorama ograniczała się do paru da-
chów, do kilku oświetlonych okien, choć
była już godzina ósma rano.
— Chciał pić kawę, rozglądając się do-
okoła po pokoju, w którym krzesła i
fotele wróciły na swoje miejsca, a skąd
zniknęły kieliszki i butelki.
— Pani Martin krzątała się po mieszka-
niu, robiąc porządek, poruszając waga-
mi, jak gdyby mówiła sama do siebie.
Miała dobre pod przedziśniętą. Na ni-
skim stoliku leżały gazety, które zaczy-
naj przynosiła na górę, ale nie był ich
ciekaw i nawet okiem nie rzucił.
— Nie miał wprawdzie kaca, ale czuł się
polamany, tak moralnie, jak i fizycznie.
W głowie miał pustkę.
— Od razu wole pan uprzedzić...
— Tym razem usta nie poruszały się już
bezdolnie. Mówiła.
— ... że pracuję tu ostatni dzień...
— Nie wyjechałaś dlatego. On zresztą
nie domagał się wyjaśnień, nalał so-
bie drugą filiżankę kawy, chrupał ro-
galiki, który rósł mu w ustach.
— Wreszcie usiadł przy telefonie i po-
prosił o połączenie z Saint-Ilgers-la
Ville.
— Halo... Lulu?
— Była to ich kucharka, Lutza Biran,
żona ogrodnika.
— Czytała pani gazety?
— Jeszcze nie, ale byli już ludzie...
— Ona też miała głos obojętny.
— Niech pani nie wierzy w to, co be-
dą opowiadać, ani w to, co piszą w ga-
zetach. Nie konkretnego jeszcze nie wia-
domo. Jak się czuje Patrick?
— Dobrze.
— Niech się pani postara trzymać go z
daleka od tej afery...
— Zrobisz, co się da, salim.
— A poza tym?... uważał za stoso-
wne dorzucić.
— A poza tym nie...
— ...czy mogę jeszcze prosić panią o
kawę, pani Martin?
— Wygląda na to, że tego panu po-
trzeba.
— Położyłem się spać późno.
— Od razu się domyśliłam, widząc w
jakim stanie znajduje się mieszkanie.
— Poszedł do łazienki, wyciągnął ręce,
zrobił sobie kąpiel, w końcu jednak zde-
cydował się na zimny prysznic. Nie wie-
dział, co robić, ani gdzie się podziąć.
Zazwyczaj jego ruchy z rana miały ści-
śle określony rytym. Dziś zapominał na-
stawić, jak zawsze radio, ale obawiał się,
że może być o nich mowa.
— Przypomniał sobie długi korytarz w
kształcie tunelu, u którego wylotu wrę-
czył strażnikowi walizkę przeznaczoną
dla Kocura. Ona też musiała być na
nogach. Zapewne budzono ich bardzo
wcześnie, być może już od szóstej rano?
— Kawa podana.
— Dziękuję.
— Pił ją w kapeluszowym szlafroku, w koń-
cu podszedł do stosu gazet, przeczytał
pierwszy tytuł: MŁODA DZIENNIKAR-
KA MORDUJE SWOJĄ SIOSTRĘ.

Dalszy ciąg nastąpi

SIMENON





FOTOREPORTAŻ: W. PARYSA



ORKIESTRY PODWÓRKOWE



DLACZEGO PATRICK WHITE NIE STAŁ SIĘ FAULKNEREM AUSTRALII

Nie stał się Faulknerem Australii, choć jak Faulkner chciał prastare mity przetworzyć w mity swojego kraju, choć jego „Drzewo życia” krytycy zestawiali z Faulknerowską „Przypowieścią”. Nie stał się Faulknerem Australii, choć Faulknerowską atmosferą przesiąknięty jest dom panny Hare z „Wozu ognistego”, strażniczki walącego się domostwa, ostatniej z rodu pionierów. Nie stał się Faulknerem Australii, choć otrzymał nagrodę Nobla, ponieważ być Faulknerem, to znaczy być Faulknerem nie tylko dla Południa Ameryki, lecz także dla reszty świata, to znaczy być tak nierozdzielnie związanym z konkretnym miejscem na ziemi, że staje się ono stanem Yoknapatawapha — światem, który dlatego wszędzie istnieje, że nie istnieje nigdzie.

Można być także Henry Jamesem, a więc pisarzem świadomym rozdarcia kulturowego między Starą i Nową Anglią i z tego rozdarcia uczynić temat powieści. Można być również Conradem i stać się z Polaka Anglikiem, uciec od polskich realiów i do Polski wrócić w charakterze angielskiego pisarza. Można być jeszcze Joyce'em i powiedzieć: „Irlandczyk musi uciec z Irlandii, jeśli chce być sobą”, a następnie ze zniechęconym Irlandczykiem uczynić „Itakę tęsknoty” i akcję najznakomitszej swojej książki umieścić w Dublinie. Jest z pewnością jeszcze szereg innych możliwości. **PATRICK WHITE** wybrał chyba dość niefortunną (lub może został przez nią wybrany).

White jest uważany za najwybitniejszego przedstawiciela literatury australijskiej, o której wiemy nader mało, i najbardziej znanego pisarza australijskiego na granicy. Jest jednak zbyt angielski, aby ukształtować odrębny styl australijskiej prozy i zbyt australijski, aby stać się pisarzem angielskim. Ma zbyt małą jeszcze pisarską świadomość swojej natury artystycznej „mieszkańca”, aby ją wyeksponować — ten problem zaczyna się ujawniać dopiero w „Wiwisekcji” i dlatego jest to jego najlepsza książka.

Krytycy znajdowali w twórczości White'a wpływy pisarzy angielskich i amerykańskich — Faulknera, Lawrence'a, młodszego Joyce'a, Jamesa, Melville'a i wielu innych. Przez długi okres życia mieszkał w Anglii (gdzie się zresztą urodził) i walczył

w armii brytyjskiej na Bliskim Wschodzie. Wreszcie zamieszkał w pobliżu Sydney. Realia jego powieści zbyt są australijskie, abyśmy nie czuli odległości dzielącej nas od tego kontynentu, a technika pisarska zbyt tradycyjnie angielska, aby nie dziwiła nas bądź co bądź egzotyczna dla nas Australia jako miejsce akcji.

Niewątpliwie White jest pisarzem o dużym wyczuciu problemów moralnych, ale często jest niestety bardziej moralizatorem niż moralistą. W „Żywych i umarłych” ze zdegenerowanego świata „umarłych” (najpierw duchem, a potem ciałem) wyrwa się młoda dziewczyna, zakochana w robotniku, który ginie w Hiszpanii broniąc Republiki, a po jego śmierci jedzie tam również. Oni są „żywi”. Cały ten problem potraktowany jest jednak dość schematycznie, a motywacja postępu Edena zbyt psychologiczna, abyśmy mogli jej wybór między światem „żywych” i „umarłych” potraktować jako wielką metaforę. „Żywi i umarli” to w zasadzie powieść utrzymana w konwencji angielskiej prozy psychologicznej i metafizycznej jej tytuł kłóci się z zawartością.

W „Wozie ognistym” natomiast szala przeważała się na stronę symbolu. W miasteczku australijskim spotyka się czworo sprawiedliwych, którzy mają tę samą wizję — wozu ognistego. Jeden z nich zostaje ukrzyżowany przez miejscowych chuliganów i przychodzi po niego dwie Marie. Ukrzyżowanie sprawiedliwego nie jest jednak specjalnie odkryw-

czym i ciekawym pisarstwo przetworzeniem mitu — raczej powtórzeniem starych wzorów i dlatego symbolika staje się zbyt nachalna. Podobnie jest zresztą w innych powieściach — w „Węźle” i niektórych fragmentach „Wiwisekcji”, gdzie już na pierwszej stronie młody Duffield pyta ojca:

— „Dlaczego inne kury dziobią go, powieź tato?”

— Nie podoba im się, bo jest inny.”

Ten „inny” to właśnie ów młody Duffield, bohater powieści, artysta.

Przyznać jednak trzeba, że jest White rzetelnym pisarzem psychologicznym, który dobrze opanował tzw. warsztat. Najciekawsze są w jego książkach postacie nawiedzonych prostaczków i obłąkańców, tak dobrze znane nam z Dostojewskiego i rosyjskich ludowych opowieści, w których człowiek zbliża się do świętości, kiedy odchodzi od rozumu. Nie bez przyczyny „głupi” brat — bliźniak z „Węzła” maniackalnie czyta w bibliotece ciągle jedną książkę — „Braci Karamazow”. Uważana przez otoczenie za obłąkaną panną Hare — jedna z czwórki sprawiedliwych w „Wozie ognistym” wie i rozumie więcej niż ktokolwiek inny i tylko ona potrafi do końca pojąć mroczną psychikę Himmelfarba, Żyda, który przeszedł przez piekło obozów i zapłombowanych pociągów wiozących w nieznane.

W powieściach White'a życie płynie dwoma nurtami — codzienność niepokoją prądy, które czasem wydobywają się na powierzchnię. W zakończeniu „Węzła” pani Poulter po załatwieniu spraw bieżących wraca w „istotną sferę życia”. W „Wiwisekcji” ta istotna sfera jest pasją twórczą Duffielda — Hurtle'a. Jego moralność — moralność artysty jest inna od powszechnie zaakceptowanej, lecz jest jej wierny do końca. Nie interesują go sprawy materialne. Jest bogaty, ale to bogactwo go nie dotyczy. Nie zależy mu na sprzedawaniu obrazów. Ucieka z własnej wystawy. Umierając chce jeszcze osiągnąć płótna, aby namalować cyfrobę. Najbliższą mu osobą jest młoda dziewczyna — Kathy. Dzieli ich ogromna różnica wieku, ale to okazuje się nieistotne, ponieważ łączy ich miłość do sztuki — Kathy jest artystką. Duffield znajduje w niej swego sobowtóra. Ten motyw sobowtóra — odbicia, pochodzący z romantyzmu, a tak ważny w twórczości Dostojewskiego pojawia się często w powieściach White'a.

„Wiwisekcja” jest może najmniej „pekniętą wewnątrz” powieścią White'a. Drażnią niekiedy jej dłużyzny, jej przegadanie. Wydaje się jednak, że słowo „wiwisekcja” może być potraktowane jako programowe hasło artystyczne White'a. Wiwisekcja oznacza chyba zarówno „stosunek bohatera książki do otoczenia, jak stosunek pisarza do kreowanych przez niego postaci (stąd bierze się turpizm White'a). Skłonność do wiwisekcji jest przywilejem i przekleństwem artysty. Przed okrutnym obrazem psa poddanego wiwisekcji i umieszczonego na wystawie cofa się z przerażeniem przybrana matka Duffielda.

Duffield ma jednak we krwi skłonność do chłodnej, okrutnej analizy — dlatego popełnia samobójstwo jego kochanka, która była dla niego przede wszystkim modelką. Tym zimnym stosunkiem do otoczenia żywi się jego pasja artystyczna. Jest artystą, który podpisał pakt z diabłem, a może z bóstwem, które jest demonem. Powtarza to przecieży ciągle i pisze, próbuje wykrztusić jeszcze w chwili śmierci: **Bóg — Wiwisektor — Artysta**. Przypomina się niekiedy bohater Mannowskiego „Faustusa”.

Problem artysty musiał dawniej już nurtować pisarza, bo Alf — malarz z „Wozu ognistego” jest jakby szkicem postaci Duffielda. Artysta jest opętany. Artysta jest wybrańcem. Oto motto do „Wiwisekcji” (jedno z kilku):

„Malarstwo jest tym samym, co przeżycia religijne. Malarz, wyniesiony ponad innych ludzi staje się ciężko chorym, wielkim Przestępcą i Wielkim Potępiencem, a także Najwyższym Mędrcem. Dosięga bowiem Nieznane”.

To motto pochodzi z Rimbauda. Inne natomiast z Blake'a. Chyba nie bez przyczyny. W koncepcji artysty White'a jest wyraźny element romantyczny — artysta nawiedzany przez Muze lub Bóstwo. Ale są także echa późniejszych koncepcji — psychoanalitycznych.

Do biografii Hurtle'a — Duffielda wchodziła się Podświadomość. Czyżby „Wiwisekcja” kryła w sobie także podświadomość jej twórcy? A może koncepcja, którą spróbujemy zrekonstruować, przedostała się już na wyżyny świadomości?

Bohater powieści, Duffield, pochodzi z biednej rodziny. Został zaadaptowany i wykształcony przez bogatych Hurtle'ów. O swojej prawdziwej rodzinie nie myślał i nie mówił. Pod koniec życia dopiero spotkał na ulicy staruszkę — siostrę. Po rozstaniu z nią poczuł, że musi coś sobie przypomnieć, coś co kryje się w niepamięci i mroku. Wtedy upadł na ziemię w ataku groźnej choroby. Czyżby więc była to powieść o odejściu od autentycznego źródła artystycznej inspiracji — pierwszego, prawdziwego domu? Powieść o dwóch domach, przybranym i prawdziwym? O dwóch ojczyznach? O zagubionym w przeszłości słowie — czymś, czego brakuje, aby artysta spełnił swoją misję, aby anglo-australijski pisarz stał się australijskim Faulknerem?

Czy aby przypomni sobie White to zapomniane słowo? Czy podszepnie mu je Australia?



„PRENUMERATA”

Kilkakrotnie pisaliśmy na łamach „Odgłosów” o niewłaściwie funkcjonującej prenumeracie. Na nasze uwagi i listy czytelników nadeszły wyjaśnienia Działu Służby Pocztowej Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji. Są to kopie pism adresowanych do zainteresowanych Czytelników. Publikujemy fragmenty tych pism.

Do **BOGUSŁAWY KARASINSKIEJ** w Pabianicach:

„Dyrekcja uprzejmie podaje, że prowadzone postępowanie wyjaśniające potwierdziło fakt późnego otrzymywania „Odgłosów” przez Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny w Pabianicach w miesiącu październiku i listopadzie ub. r. z Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej w Łodzi.

Opóźnienie w dostarczeniu prasy, jak wyjaśnia kierownik ekspedycji Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Ruch” wystąpiło w związku z przeniesieniem drukarni do nowych pomieszczeń oraz z dokonywaną reorganizacją pracy na poszczególnych stanowiskach.

Niemniej jednak Dyrekcja przeprasza Obywatelkę za nieterminowe otrzymanie tygodnika „Odgłosy”, zapewniając, że urząd pocztowo-telekomunikacyjny w Pabianicach, znając sytuację życiową Obywatelki, czynić będzie wszelkie starania, aby prasa dostarczona była Obywatelce natychmiast po jej nadejściu do urzędu.

Do **HENRYKA GRABOWSKIEGO**, zamieszkałego w Łazach, p-ta: Siłnicza, pow. Radomsko:

„Dyrekcja uprzejmie podaje, że przeprowadzone szczegółowe postępowanie wyjaśniające potwierdziło fakty podane w notatce. Wina za niedoreczenie czasopisma ponosi doręczyciel — obsługujący miejscowość, w której Obywatel zamieszkuje — który nie interweniował u naczelnika urzędu pocztowego w Siłnicze o braku tygodnika „Odgłosy”. Doręczyciel za niewłaściwe wykonywanie swoich obowiązków został ukarany karą porządkową. Upomnienie.”

Jednocześnie zwrócono uwagę naczelnikowi urzędu pocztowego w Siłnicze, aby przeprowadzał stałą kontrolę nad terminowym otrzymywaniem czasopism i nad właściwym ich doręczaniem. Dyrekcja przeprasza Obywatelę za dotychczasowe nieprawidłowości w doręczaniu, jednocześnie prosząc o każdorazowe informowanie w wypadku nieterminowego otrzymywania zamówionej prasy.”

Oba pisma podpisał kierownik Działu: **C. CIEŚLEJSKI**.

DZIĘKUJEMY!

„FATUM”?

Konrad Frejdlidh zaczyna swój felieton pod powyższym tytułem („Odgłosy” nr 6 z 7 lutego 1974) od słów: „Stara łacińska paremia głosi: „Haben sua fatum libelli”... itd.

Otoż muszę się w tym przypadku nie zgodzić z moim młodszym i młodym kolegą. Łacińskie przysłowie brzmi prawidłowo: „Haben sua fata libelli”. Fata — to losy, a nie fatum, a pełny tekst porzekadła brzmi: „Pro capiti lectoris habent sua fata libelli”, co znaczy: losy książek zależą od pojętności czytelnika.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

CZŁOWIEK W ZIELONYM SWETRZE

Dalszy ciąg ze str. 1

sterty chleba i serów też nie znajdowały chętnych. Wydawało się, że ten kombajn napędzania żołądków umieszczony został tu przez pomyłkę, a ten drobniutki przemysł, taśmowy system karmienia ludzi jest tu w ogóle nie na miejscu. Nie wiem jakim zbiegiem okoliczności znaleźliśmy się przy jednym stole, widocznie ciągnęła nas do siebie nurtująca prawdopodobnie nas obu potrzeba rozmowy, potrzeba ludzkiego sąsiedztwa w tej pustej sali, odruch obrony przed samotnością w tym bezmiarze śnieżnych, białych pól, zagładających przez szerokie, nowoczesne okna. Pierwszy odezwał się chyba ja:

— It's a fine weather, isn't it? Zaskoczenie na jego twarzy było wyraźne.

— Oh! You are not from Sweden! What country are you from?

Widziałem, że ożywił się. Może to była ciekawość, a może świadomość, że ma koło siebie kogoś, kto go nie zna, i kto nie zna również powiazań i plotek. Zdarzało mi się już poprzednio spotykać ludzi dla których rozmowa z obcym była miłsza, niż z rodakiem, bo można było się pokazać w lepszym świetle lub po prostu szczerzej porozmawiać.

— I am from Poland — odpowiedziałem.

Zbladł.

— Niemożliwe!

— Pan jest Polakiem! — wykrzyknął uradowany. — Nigdy nie my-

ślałem, że spotkam tu na Północy kogoś z Polski!

Widać było, jak powoli wraca mu równowaga.

— Skąd pan się tu wziął? — spytał.

— Morfolog. Stypendium WHO. Dwa miesiące — odpowiedziałem stylem telegraficznym. — A pan?

Jego wewnętrzna radość jakby na chwilę przybladła.

— Ja tu pracuję.

— Domyślam się, ale jak pan tu się dostał?

— Na „zielony paszport”.

To wyjaśniło wszystko. W jakichś tam okolicznościach wyjechał z kraju i został. Nielegalnie.

Zapatrzył się w swój talerz, długo manipulował widelcem, a potem zapytał:

— Kiedy pan jedzie?

— Jutro.

Znowu chwila przerwy i ponownie: — W kraju pewnie już nie ma śniegu, pewnie już zielono, a tu zima nas trzyma aż do końca maja, a czasem dłużej!

Zamyślił się patrząc w biel za oknem. W sali było ciepło, wiatr jakby na chwilę uciekł. W jednym z rogów stał gliniany dzban z gałkami chrustu, do których przyklejono różnokolorowe barwione kurze pióra. Jest to stary, szwedzki zwyczaj zdobienia w ten sposób mieszkań w okresie wielkanocnym. Wzrok jego zatrzymał się na tym dzbanie.

— Patrz pan! U nas baranki i święcone, a oni stroją się w kurze piórka!

Z jego pogardliwej miny widać było wyraźnie, że jest za barankiem i święconym. Podciągnął trochę bezalkoholowego piwa.

— A białą kielbasę pan pamięta?

Rozemknął się.

— Ja nie muszę pamiętać! Ja za tydzień będę ją jadł! —

I zapytał:

— Co pan tu robi? Jest pan lekarzem?

— Tak, ale na razie nie pracuję tu jako lekarz. Muszę jeszcze zdać egzamin z języka i z przepisów ochrony zdrowia. Pracuję jako technik medyczny w Instytucie Weterynarii. Zarabiam dobrze... Kupiłem już samochód.

— Jak?

— Volkswagena.

— Garbus?

— Tak.

— Nowy?

— Nie.

Zrobiło mi się trochę przykro.

— Jest pan żonaty? — spytałem, żeby zmienić temat.

— Nie.

— To chyba panu ciężko samemu?

Przyglądał mi się badawczo, jak gdyby decydując się na szczerść.

— Tak! Jest ciężko! Ta samotność jest właśnie najgorsza! Teraz już jest trochę lepiej, bo już coś niecoś rozumiem po szwedzku, ale przedtem mogłem być w tłumie ludzi i czułem się tak, jakbym był na pustyni, bo nie rozumiałem ani słowa z tego, co oni mówili. To co robię, to co do tej pory kupiłem, jakoś mnie nie cieszy. W kraju myślałem, że będzie inaczej. Tu jest tak, jak w Stanach Zjednoczonych, trzeba mieć duże pieniądze albo wysokie stanowisko. Willa letnia pod mi-

stem, jacht, samochód wysokiej klasy, najnowszy model, to się leży, ale gdzie mnie do tego. Ratuję mnie praca. Pracuję tu dużo i intensywnie; nie mam czasu myśleć. Pracuję od 8 do 17 z przerwą na lunch, ale jak prowadzimy ostre badania, na zwierzętach, to siedzę całymi nocami! Najgorzej są soboty i niedziele! Nie wiadomo, co z sobą zrobić!

— Dlaczego się pan nie ożeni?

Teraz on się uśmiechnął.

— To nie jest takie proste. Pomijam już fakt, że w moim wieku trudno jest

zostać ojcem, a przynajmniej uczucie, które sa chyba niezbędne dla prawdziwego ożenku. Zdecydowałbym się mimo tego, ale muszę pan wiedzieć, że Polak, że cudzoziemiec — poprawił się — jest w Szwecji zawsze na drugim miejscu i w pracy i w życiu towarzyskim, a także w miłości. Leczy się stanowisko i pieniądza, a ja — w tutejszym pojęciu — nie mam ani jednego ani drugiego, mimo że według krajowych ocen jestem człowiekiem dobrze sytuowanym. Te kobiety, dla których ja mogę być tu interesujący, są poza marginesem moich zainteresowań i odwrotnie, te, które mnie interesują, nie raczą nawet zaszczycić mnie spojrzeniem. W Uppsali poznałem wprawdzie dwa małżeństwa polsko-szwedzkie na poziomie, ale nie każdy ma szczęście!

— A jak stosunki w pracy?

— Stosunki w pracy są bardzo układne, grzeczne, ale na zasadzie: zrób, pokaż, ładna mamy dzisiaj pogodę; nie poza tym. Nie tak jak u nas w kraju! Wie pan, to może brzmieć śmiesznie, ale tu można zacząć tęsknić za kłakami!

— No, a wyjeżdża pan gdzieś?

— Tak, zjeżdżałem już całą Szwecję, to bardzo piękny kraj i nie zatłoczony, co dodaje mi jeszcze więcej uroku, byłem też we Francji, we Włoszech, ale co mi z tego. Nie cieszy mnie to!

— Dlaczego pan nie wraca?

— Dlaczego nie wracam! Wie pan, chyba po prostu wstydzi się wrócić. Może jeszcze rok, dwa, zarobię trochę więcej pieniędzy, sadzę, że to mi umożliwi usprawiedliwienie mojego postępu wobec otoczenia w Polsce. To mi umożliwi honorowy powrót!

Zamyślił się.

Popatrzył na zegarek.

— No, czas na mnie.

Wstał, poprawił sweter, podał mi rękę.

— Szkoda, że pan jutro wyjeżdża. Teraz przez kilka dni będzie mi jeszcze ciężiej — trzymał nadal moją rękę patrząc mi prosto w oczy. — Szczęśliwej podróży! Niech pan pozdrowi ode mnie Ojczyznę!

Odszedł przygarbiony i samotny. Przy drzwiach odwrócił się i pomachał mi ręką. Pomachałem mu też. Siedzący w pobliżu Szwedzi patrzyli na nas zdziwieni. Żal mi go było serdecznie.

Nieraz myślę o tym człowieku.

Zastanawiam się, czy idąc białym korytarzem wraca pamięcią do naszej rozmowy, czy nadal snuje plany powrotu do kraju, albo może już jest w Polsce i napisze do mnie?

BOGUSŁAW GOŁĄB

Dalszy ciąg ze str. 1

niego lepsza. Ale te napięcia po stają nie tylko w miejscu pracy. Któregoś dnia na przystanku przy rogu Zielonej i Piotrkowskiej spotkałem t. n. glodny komunikacyjny Wiadomo, że nowym, przegubowym wozem tramwajowym motorniczy nie ruszy, jeśli automatyczne drzwi nie są zamknięte. Troglodyta, który już z przystanku widzi, że tramwaj jest przepełniony, pcha się „na grandę”, choć na linii Zielona-Narutowicza tramwaje kursują co parę minut, blokuje drzwi wejściowe, upiera się, że i on jeszcze się wciśnie. Persw dują mu pasażerowie z wnętrza wagonu i nawet ci czekający na przystanku, pouczają go motorniczy — nic nie pomaga. Owego dnia tramwaj stał więc przy rogu Zielonej i Piotrkowskiej dobry kwadrans, zanim uparty kozł, czyli komunikacyjny troglodyta nie odblokował drzwi.

W POCIĄGU

Nieliczenie się z niczym, wygórowane pojęcie o sobie, działanie na przekór logice, cechuje na ogół ludzi nieskomplikowanych, tym bardziej więc gorzkie wnioski wywołuje wspomnienie pewnej młodej kobiety, która wsiadła niedawno w Kutnie o 5 rano do pociągu jadącego z Gdańska do Łodzi. Kobieta budziła sympatię, dlatego może zwróciła na siebie uwagę podróżnych, chociaż po nocy spędzonej w pociągu ludzka wrażliwość jest minimalna. Nowa pasażerka weszła do wagonu z małym dzieckiem i jej pierwszą, naturalną zresztą myślą, było znaleźć miejsce siedzące.

A tu sytuacja była wręcz fatalna. Ludzie siedzieli na podłodze korytarza. W przedziałach tłok jak nigdy. Na miejscach dla 4 osób siedziało 6-7 podróżnych, wszyscy z dziećmi — przemęczeni. Wier atmosfera w chwili wejścia kobiety do wagonu była raczej ciężka i nie sprzyjająca odruchom Wersalu czy dżentelmeństwa. Ale ta kobieta, która o 5 rano wsiadła w Kutnie, nie wysnuła z sytuacji żadnego wniosku. Jedyną jej r sła było wszcząć natychmiast awanturę. Zaglądała do przedziałów i wykrzykiwała, że nie ma już „porządnych” ludzi, że inni sobie siedzą, a jej z dzieckiem miejsca nie ustępują.

Chwila była denerwująca. Ludzie przecierali oczy, budzili się, kiwali głowami — jednym słowem odnosili wrażenie, że ta z Kutna chyba spadła z księżycy.

Stojąc przy oknie, usłyszałem nagle trafną opinię: Czy musiała budzić dziecko o czwartej rano i wlec się z nim na dworzec, aby dostać się do tego właśnie pociągu?



Fot. Andrzej Bębnowski

OBYCZAJE RODAKÓW

OAZA ŻYCZLIWOŚCI

Niedawno spotkałem człowieka życzliwego. Znalazłem go po kilku daremnych próbach aprawienia zegarka w różnych punktach usługowych. Wszędzie mówiono mi, że to

kółko, którym się nakręca zegarek, nie naciaga sprężyny, bo tam w środku coś pękło, coś, czego oni nie mają do wymiany. Ale inny pogląd reprezentował człowiek życzliwy, w jednym z punktów usługowych. Obejrzał zegarek i kółko, otworzył werk, coś

tam uchwycił szczypcami i za chwilę oddał mi zegarek.

— Już teraz może go pan nakręcać. Nakręciłem i chodzi do dziś.

— Ile panu płacę — zapytałem.

— Nic — brzmiała odpowiedź. — To drobniak — powiedział — nie do-

łożyłem żadnej nowej części, a ten ruch szczypcami nie liczy się...

„OBŁOŻENIE”

Stajemy się coraz trzeźwiejsi w ocenie zjawisk. Nie wystarczą już nam piękne słowa. Byłem jednak zaskoczony opinią pewnego działacza, który oceniając gospodarkę społecznymi środkami, był zdania, że niektóre przedsiębiorstwa czysto formalnie podchodzą do sprawy wypoczynku zatrudnionych w tych przedsiębiorstwach pracowników. Budują za pieniądze wypracowane całorocznym czy nawet wieloletnim wysiłkiem własne domy wypoczynkowe, a potem zdarza się, że te domy wykorzystywane są tylko przez 12 tygodni w ciągu roku (6 turnusów), a przez „J” stoją puste. I właśnie ów człowiek trzeźwo oceniający sytuację w tej dziedzinie nie wahał się powiedzieć tak:

— Czasem wydaje mi się, że taniej byłoby wysłać pracowników takiego przedsiębiorstwa na urlop do zagranicznych kurortów, niż utrzymywać całymi latami ośrodki, które służą ludziom tylko w minimalnym stopniu, chociaż kosztowały miliony...

Te słowa działacza nie odnoszą się jedynie do ośrodków nadmorskich, w których rzeczywiście trudno o całoroczne „obłożenie”. Tej zimy jednak w Zakopanem można spotkać zakładowe domy wczasowe na wysokim polysku, w których wykorzystuje się zaledwie 40-50 proc. łóżek. Więc to nie problem sezonu czy lokalizacji, a logiki i gospodarności społecznymi środkami. Całe szczęście, że wkrótce i te sprawy mają się podobno znaleźć na warsztacie rozsądnych ekonomistów i czułych na dobro społeczne działaczy.

WYDAĆ PIENIĄDZE

W pewnym powiecie (nie na Ziemi Łódzkiej) usłyszałem od prezesa OSP, że kultura u nich kwitnie, rozwija się z roku na rok.

— Chce pan przykładu? — zapytał. — W ubiegłym roku na instrumenty perkusyjne dla młodzieżowego zespołu przeznaczyliśmy 40 tysięcy...

Spukałem potem, rozpytywałem się, jakie są jeszcze inne przejawy pracy kulturalnej z młodzieżą, w pracy nad podniesieniem ludzkiej świadomości, nad społecznym, moralnym i fizycznym człowiekiem. Nie znalazłem budujących przykładów, choć dowiedziałem się, że młodzi ludzie w tamtych stronach chętnie tańczą i grają na perkusji, że działacze myślą o tych potrzebach, że właśnie na instrumenty wydano aż 40 tysięcy.

FELIKS BABOL

ZMIANA DECYZJI

Wczoraj 20 lutego nieoczekiwanie wezwano Samsonowa do Selięra.

— Mamy dla pana pilne zadanie. Przemyslił się sprawę i doszliśmy do wniosku, że lepiej zna pan okolicę Stalingradu niż inni nasi współpracownicy. Właściwie mógłby pan pokierować grupą. Zrzucimy pana tutaj — szef pochylił się nad mapą — w rejonie stacji Miedwediew. Będziecie udawali saperów. Waszym zadaniem jest dokładne ustalenie miejsca pobytu marszałka polnego von Paulusa. Kogo mamy panu przydzielić w charakterze telegrafisty?

— Czy mógłbym zaproponować Stupkę?

— Zgoda — oświadczył Seliger i podniósł się zza biurka.

DESANT

W nocy na 22 lutego niemiecki samolot zrzucił na wywołonym przez wojska radzieckie terenie dwóch skoczaków spadochronowych — porucznika Samsonowa i radiotelegrafistę Stupkę w mundurze sierżanta. Kiedy rozwidniło się, porucznik wydobyl mapę, zorientował się w terenie i odszukał drogę do stacji. Wiekli za sobą ciężkie plecaki, Samsonow trzymał aparat do wykrywania min, który zgodnie z pomysłem niemieckich przełożonych miał wywołać wrażenie, że są saperami.

Na ulicach stacji było rojno od żołnierzy. Samsonow zastanawiał się w jaki sposób ma się szybko skontaktować z majorem Ustinowem. W czasie snu Stupki odszukał dowództwo jednostki. Wskazano mu domek, w którym miał się znajdować oficer kontrwywiadu.

— Potrzebuję waszej pomocy, towarzyszu starszy lejtenancie — powiedział Samsonow. — Niech pan da znać do dowództwa wydziału specjalnego w Stalingradzie, że przybył „Jastrząb” i musi się natychmiast spotkać z majorem Ustinowem.

Porucznik położył się na ławie, przykrył półkożuszkami i spał dopóki ktoś nim nie potrząsnął. Miał przed sobą majora Ustinowa.

W czasie posilku Samsonow opowiedział o wszystkim, co dostrzegł lub usłyszał w Zaporozju. Podkreślił, że niemieckiemu majorowi bardzo się spieszyło, polecił zdobyć wia-

domości o losie von Paulusa w ciągu dwóch, trzech dni.

W POSZUKIWANIU FELD Marszałka

Następnego dnia do domu gdzie zakwaterowali się niemieccy wysłannicy weszła młoda kobieta w czarnym fartuchu. Ciociu, ciociuniu, czy żyjesz jeszcze? — zawołała. Z pieca zgramoliła się gospodyni. Obie kobiety pogadały w sieni i opuściły dom. Rozkładaj nadajnik i zamelduj, że dotarliśmy na miejsce i zaczynamy wykonywać zadanie — polecił Samsonow radiotelegrafistę. Po kwadransie Stupko otrzymał odpowiedź: „Oczekujemy na dalsze meldunki”.

Wczoraj Samsonow spotkał się z Ustinowem, który rozłożył mapę i wskazał ołówkiem na jedną z miejscowości. — Pójdźcie do tej stacji. Wyszukasz tam dom z mansardą i powiesz do właściciela, „Chcielibyśmy pokoiczek, nie zapomnij powiedzieć pokoiczek, na kilka dni”. Gospodarz przyjmie was. Na marginesie, żona gospodarza jest kucharką w stacji Sawarykin, gdzie znajdują się złapani niemieccy generałowie. Opowie ci co nieco. Jej słowem trzeba wierzyć.

Jeszcze tego samego dnia Samsonow i Stupko udali się w drogę i tuż przed zmierzchem odnaleźli dom z mansardą. — Zapoznajmy się — powiedział po chwili właściciel — we wsi nazywają mnie Zawielicz. A to moja żona, Anna Miedwediewna.

Na stole stanął garnek z dymiącymi ziemniakami w mundurkach, obok aluminiowa miska z kwaśnymi ogórkami. Stupko wyciągnął półkilową konserwę mięsna, chleb i butelkę alkoholu. Mówiono o wojnie i przeklinano Hitlera. Po trzeciej szklance Anna Miedwediewna stała się wylewniejsza.

— Znam tych lotrów. W sąsiedniej stacji przebywają pod strażą niemieccy generałowie. Gotuję dla nich. Marszałek Paulus mieszka w największym domu. Ciagle przebywa z nim jeden generał i pułkownik. Czterech naszych ich pilnuje.

Kiedy Samsonow i Stupko znaleźli się sami w izdebce przeznaczonej dla nich na kwatery, „sierżant” podskoczył do góry z radością. — Mieliśmy szczęście. Baba wygadała się jak na zamowienie.

C.d. w następnym numerze



AKCJA PAULUS

Dalszy ciąg ze str. 1

przebrnął przez nie zwycięsko i jesienią wysłano go na kurs agentów niemieckiej Abwehry.

PIERWSZE ZADANIE

Pierwsze samodzielne zadanie porucznik otrzymał na początku roku 1943. W nocy na 10 stycznia wyładował ze spadochronem na wschód od

Stalingradu. W rejonie Leninska miał wysadzić tor kolejowy, po którym podążały radzieckie posilki. Poza tym polecono mu zebrać informacje na temat 64 armii. Tyle tylko, że niemieckie Oberkommando nie wiedziało, że właśnie 10 stycznia rozpoczęła się rozstrzygająca ofensywa wojsk radzieckich i dni okrążonej armii feldmarszałka von Paulusa były już policzone.

Samsonow udał się przede wszystkim do wydziału specjalnego dowó-

dzstwa frontu i przekazał cenne wiadomości o faszystowskiej szkole wywiadowców. Zapoznano go z majorem Ustinowem. Wspólnie opracowali sprawozdanie dla niemieckich zleceńodawców. Informacje na temat 64 armii sporządził sam Ustinow. Samsonow po raz drugi przekroczył linię frontu...

POWRÓT DO WROGA

17 lutego porucznik przybył do zajętego przez Niemców Zaporozia. W jednym z tamtejszych hoteli robotniczych mieścił się sztab jednostki Abwehry. Jej komendant, major Seliger, natychmiast przyjął Samsonowa. Był zadowolony ze sprawozdania.

— Zasłużyliście, poruczniku — powiedział jowialnie — na urlop. Na marginesie, mam jedno pytanie, czy nie słyszał pan coś o losie general-feldmarszałka von Paulusa?

— Ależ tak — powiedział porucznik po chwili przerwy — słyszałem jak jakiś major opowiadał koledze, że przewiózł Paulusa z Bekietówki do sztabu frontu donieckiego, który mieścił się w jakiejś stacji na północ od Stalingradu.

— Czy ta stacja nazywa się Sawarykin?

— Nie mogę przypomnieć sobie nazwy.

Następnego ranka porucznik został wezwany do komendanta szkoły agentów, leutnanta Hansa Raunacha. Kierownik placówki wywiadowczej przedstawił mu grupę dywersantów.

— Będzie pan szkolil tych panów codziennie przez cztery godziny. Niech pan im opowie o warunkach życia w rejonie Stalingradu a przede wszystkim o funkcjonowaniu sowieckiego dowództwa.

Samsonow miał tydzień czasu. Latwo było wyliczyć, że grupa zostanie przetrzucona przez front w okresie od 22 do 24 lutego. Ale gdzie i w jakim celu?

Radiotelegrafista z papierami wystawionymi na nazwisko Stupko okazał się najbardziej przystępnym. Dość szybko zdradził, że grupa ma zmierzać do sztabu położonego na północ od Stalingradu. Tego samego dnia Samsonow udał się do miasta. W skrzynce kontaktowej pozostawił meldunek o grupie „Szypowa” i jej zadaniu.

„NIE CHCĘ SŁYSZEĆ O MATCE...”

TADEUSZ
MICHALSKI



Fot. Archiwum

Opowiadał mi niedawno mój znajomy, nie kryjąc swego oburzenia, o gehennie dziecka systematycznie maltretowanego przez swoich rodziców:

„Przeklinam dzień, w którym wprowadziłem się do mego upragnionego mieszkania i lokatorów; sąsiadów przez ścianę. Nie uwierzysz. Tego po prostu nie da się opisać. „Rodzice” Włodka to zwykli sadyści. Katowanie dziecka sprawiać im musi szczególną przyjemność. Trzeba słyszeć, jak dziecko błaga matkę i ojca o litość, jak krzyczy, przeraźliwie krzyczy: Mamusiu, tatusiu — nie bijcie, nie bijcie, nie...”

Nie, nie mogę o tym spokojnie mówić. To jest potworne. Ten krzyk Włodka słyszę wszędzie. Słyszę te nocne burdy, ordynarne i chamskie wyzwiska, zachrypnięte, pijackie wyćie rozbawionego towarzystwa, które

jest częstym gościem w mieszkaniu moich sąsiadów. Przecież mam małe dziecko. I chociażby jemu należy się spokój”.

— A nie pomyślałeś o tym — pytam — jakby temu dziecku pomóc, przerwać jego gehennę? Dlaczego nie zawiadomiłeś milicji, sądu dla nieletnich, szkoły czy zakładu pracy?

— Człowieku, co ty wygadujesz? Kto, by z takimi mętami chciał zacząć? Nie wiem do czego oni mogą być zdolni. Tacy nie przebiegają. Nie mam ochoty leżeć w szpitalu pobity przez chuliganów.

— Ale przecież udzielając informacji o sytuacji dziecka masz prawo prosić, aby w trakcie prowadzonego dochodzenia nie ujawniano twojego nazwiska. Mogę cię zapewnić, że tajemnica zostanie zachowana.

— Może i masz rację. Ale wspólnie z żoną postanowiliśmy, że nie będziemy się w te sprawy mieszać. Ostatnio nie tylko my wiemy w bloku, co się dzieje w mieszkaniu Włodka.

— I cóż z tego, że wszyscy wiedzą? Cóż z tego, że w sposób dosadny i jednoznaczny oceniają postępowanie rodziców sadystów. Dziecko cierpi dalej i dalej bezskutecznie oczekuje na pomoc dobrych ludzi.

Dziecko — to najpiękniejsze słowo świata. Mówiąc o nim szukamy w naszym ojczystym języku słów najczulszych i najcieplejszych. Ileż to razy uczestnicząc w spotkaniach, konferencjach, naradach organizowanych przez różne instytucje i organizacje zajmujące się wychowaniem dzieci i młodzieżą wrzucamy się do leż, kiedy znakomici prelegenci i dyskutanci apelują do słuchaczy, do społeczeństwa o niesienie pomocy dzieciom z rodzin marginesu społecznego. Płyną jak szeroka rzeka słowa wielkie, słowa chwytające za serce — o naszej odpowiedzialności za wychowanie młodego pokolenia, o konieczności walki ze znieczulicą, przejawami bezduszności i obojętności. Chodzi nam przecież o szczęście dziecka, o jego prawo do pięknego i radosnego dzieciństwa. Przy każdej okazji podkreślamy, akcentujemy i cytujemy hasło — „Wszystkie dzieci są nasze”.

A potem wracamy do naszych czterech wielce akustycznych ścian marząc, aby sąsiad z przeciwka, z dołu lub z góry znowu nie maltretował żony i dzieci, nie rozbijał mebli. Jakże to nas męczy. Kiedy wreszcie przestanie — wzdychamy. Przecież zmęczonemu pracą obywatelowi należy się odpoczynek i spokój. Czy jego sumienie też jest spokojne?

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Pracując w Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi na stanowisku d/s opieki nad dzieckiem — spotykam się również ze wzruszającymi przykładami troski ludzi różnych środowisk i zawodów o dobro dziecka, ludzi, którzy przekazują nam wstrząsające relacje o tragediach tych małych istot. Niestety, trzeba z przykrością stwierdzić, że są to informacje raczej sporadyczne.

MÓWIĄ FAKTY

Leżą przede mną setki wywiadów środowiskowych przeprowadzonych w rodzinach marginesu społecznego, w rodzinach, w których wegetują dzieci. Dostarczyli je funkcjonariusze milicji obywatelskiej, terenowi opiekunowie społeczni. Wpłynęły od różnych instytucji i organizacji społecznych. Czytając te wstrząsające relacje trudno znaleźć logiczną argumentację przyczyn obojętności najbliższego otoczenia na to piekło, które stworzył własnym dzieciom ich własni rodzice. Przecież ci ludzie, niekiedy od lat, byli codziennymi świadkami bezprawia dokonującego się na tych małych, niewinnych istotach, najbardziej bezbronnych z bezbronnych.

„Obywatelka B. dziećmi w ogóle się nie interesuje, widywana jest często w stanie nietrzeźwym. Często — mienia pracę, w ogóle nie pracuje. Do jej mieszkania schodzi się element pijacki. Ojciec małoletniej odbywa karę więzienia. Elżbieta, mimo, że ma 2,5 roku nie chodzi ani nie mówi. Całe dni przebywa w łóżeczku i nikt się nią nie zajmuje. Rodzina zajmuje

jedno mieszkanie i z chwilą kiedy schodzi się różny element dziecko przebywa w strasznych zaduchach”. (fragment wywiadu środowiskowego przeprowadzonego przez funkcjonariusza milicji).

„Ojciec nieletnich: Elżbiety, Anny, Andrzeja i Zygmunta przebywa w więzieniu, a matka dziećmi zupełnie się nie zajmuje. Dzieci przebywały całe dni w domu same, głodne i nie ubrane, co spowodowało ich chorobę i umieszczenie przez Ośrodek Matki i Dziecka w szpitalu”. (Uzasadnienie Sądu dla Nieletnich, kierującego dziećmi do domu dziecka).

„Mieszkanie potwornie brudne, tego w ogóle nie da się opisać. Smród tak straszny, że uciekałam z mieszkania. Z ojcem dzieci — Wojciecha, Krzysztofa i Andrzeja — rozmawiałam na korytarzu, bo w mieszkaniu chyba bym zemdlala. Proszę jak najszybciej zabrać dzieci do domu dziecka. W ogóle nie wiem jak w tych warunkach one się wychowują”.

„Ojciec nieletnich: Pawła, Mirosława i Romana leżał w łóżku pijany. W mieszkaniu czuć było denaturę. Chłopcy mówią, że ojciec nigdzie nie pracuje. Jak nie ma pieniędzy, to chodzi zbiera butelki, sprzedaje, kupuje denaturę i pije”.

„W mieszkaniu Kasi (5 lat) zastałam dwie młode kobiety. Jedną z nich była matka Katarzyna. Siedziały przy stole zastawionym przekąskami, a przed nimi szklanki z winem. Były pijane. Obie prowadziły się niemoralnie. Przyjmują mężczyzn i uprawiają nierząd często w obecności dzieci”.

„W rodzinie małżeństwa L. jest czworo dzieci. Rodzice znani jako nalogowi alkoholicy. Dzieci nie mają elementarnych warunków do życia. Chodzą brudne, głodne, wyglądają bardzo anemicznie. W czasie rozmowy Marian i Elżbieta oświadczyli, że przed ich półroczem do szkoły wysyłają ich po piwo. Elżbieta jest chora na astmę. Brudno, brak pościeli na łóżkach”.

„Mariola o matce nie chce słyszeć. Nie chciała powiedzieć dlaczego pojechała dwanaście proszków nasennych i sześć innych. Ciotka mówiła, że po polknięciu tych proszków prosila, będąc jeszcze nieprzytomną, aby jej nie ratować, bo chce iść do tatusia, bo go bardzo kocha i tatuś był dla niej dobry. Ojciec dziecka zmarł”. (fragmenty wywiadów środowiskowych terenowych opiekunów społecznych).

SKUTKI ZNIECZULICY

Nie ma chyba dnia, aby kroniki milicyjne nie odnotowały wypadków rozbójów, gwałtów, kradzieży, bezmyślnego niszczenia urządzeń użyteczności publicznej, dokonywanych przez grupy nieletnich wyrostków. Ileż to razy spokojni obywatele naszych miast i osiedli zaczepiani zostają na ulicach przez podstępnych młodzieńców i obrzucani wulgarnymi wyzwiskami. Jakże często ci młodzi ludzie w sposób demonstracyjny manifestują swoją pogardę i brak szacunku dla wyników ludzkiej pracy.

Gdzie należy szukać źródeł tych negatywnych i ogromnie szkodliwych zjawisk? Na temat przestępczości nieletnich, braku poszanowania dla

ogólnie przyjętych norm postępowania napisano wiele poważnych prac naukowych i setki artykułów. Sprezykowano wnioski, opracowano konkretne programy działania.

Nie wdając się w ich analizę i nie przedstawiając wielu trafnych i dogłębnie umotywowanych badań — uważam, że źródła przestępczości nieletnich, ich sposobu bycia należy szukać również w tej groźnej społecznie chorobie, której na imię znieczulica. Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że nie uda się nam już wychować społecznych mętów, ludzi marginesu. Do nich przemówić mogą i muszą tylko twarde argumenty i zastrzone represje. Ale w środowiskach tych żyją dzieci i nie wolno nam patrzeć obojętnie w jakich warunkach się wychowują, jakie wzory postępowania przekazują im to środowisko.

Przyjmowanie poglądu, że wychowanie dzieci jest wewnętrzną sprawą rodziny bez prawa interwencji osób obcych — jest z gruntu fałszywe, społecznie szkodliwe. I właśnie dlatego, że tak myślimy i postępujemy, wyrastają w tych środowiskach dziewczęta i chłopcy na obraz i podobieństwo swoich mamus i tatusiów: podpierający kłosi z piwem, „obrabiający” spóźnionych przechodniów, „robiących skoki” na sklepy i kioski, „dla draki” i „ubawu” wyrzucający pasażerów z tramwajów, autobusów i pociągów.

„W rodzinie małżeństwa J. wychowuje się 7 dzieci. Zarówno nieletnią córkę jak i jej matkę odwiedzają różni mężczyźni. Nieletnia jest dwa lata opóźniona w nauce. Nie chciała pokazać świadectwa ukończenia klasy VI, twierdzi, że jej zaginęło”. (fragment wywiadu środowiskowego przeprowadzonego przez MO).

List dwóch nieletnich dziewcząt, które uciekły z domu rodziców nalogowych alkoholików: „Powiadamiamy was, że żyjemy i nie umrzemy z głodu. Dlatego uciekliśmy, że przeszliśmy kłasy w życiu osobistym, jesteśmy wyrzutkami społeczeństwa. Polknęliśmy pigułki i chodzimy ze środkami. Jesteśmy w dobrym mieście u koleżanki, dobranej, dobranej śpijcie i nie martwcie się o nas”.

„14-letni Stanisław wystaje często przed kioskiem z piwem i namawia pijanych mężczyzn do „odwiedzenia” jego matki. W mieszkaniu okrada pijanych mężczyzn”. (fragmenty wywiadu środowiskowego terenowego opiekuna społecznego).

Ktoś pięknie powiedział, że jednym z głównych mierników stopnia kultury jest stosunek do słabszego, a więc przede wszystkim do dziecka. Nie bądźmy obojętni na jego tragedię, nie pozwólmy ginać mu w atmosferze zła i deprawacji. Odwiedzajcie się nam za to stokrotnie. Odwiedzajcie się, gdy będzie już dorosłym człowiekiem: szacunkiem dla ludzi i prawa, wzorową pracą, głęboką troską o prawidłowe wychowanie własnych dzieci, spokojnym i szczęśliwym domowym ogniskiem.

*) Styl i interpunkcja cytowanych fragmentów wywiadów zgodne z oryginałem.

Jako dyrektor upoważniony jestem do przekazania wszelkich danych, ilustrujących pracę mojego banku, ale żeby nie pachniało lipą, mogę przedstawić dokumenty, albo też zadzwonić do KP. Nie trzeba? Ale oni może poradziłoby, jak te dane sformułować... Hallo! Tu Kopka, tak! Sekretarz wyszedł, rozumiem, trudno...

No to niech pan notuje.

Oddział Kredytowy Banku Rolnego w Łasku sprawuje kontrolę nad SOP-ami. W powiecie jest osiem banków spółdzielczych. Zaznacza się w nich spadek kredytu państwowego: wrzesień 1972 — 30 proc., grudzień — 1973 — 13 proc. Ale jednocześnie SOP-y udzielają coraz więcej pożyczek. Jest to możliwe dlatego, że wzrost wydajności oraz przestawianie się z produkcji roślinnej na zwierzęcą pozwala na „samokredytowanie” się wsi.

Dalej:

Banki spółdzielcze udzielają kredytów krótkoterminowych i średnioterminowych na drobne budownictwo, remonty kapitalne i zakupy inwestycyjne; Bank Rolny dysponuje kredytami długoterminowymi i to by było tyle wstępnych wyjaśnień...

W porównaniu z rokiem 1965 ilość udzielonych kredytów długoterminowych wzrosła w roku 1973 na terenie powiatu o 80 proc. Towarzyszy jej proporcjonalnie wzrost ilości udzielanych pożyczek. Kredytami zaczęli się interesować głównie właściciele gospodarstw większych, ponad 10-hektarowych.

Jako Kopka, na imię mi Józef, urodzony na tej ziemi, we wsi Luciejów, z wykształcenia rolnik, w 1947 roku pracuję w administracji, ale bezpośrednio związanej z rolnictwem. Z mojej wsi, małej i biednej, czterdziestu ludzi poszło w świat z wykształceniem wyższym i średnim. W tym i moje rodzeństwo, jeden brat tylko został na gospodarstwie. Namówiłem go na kredyt, postawił dom z „centralnym” i łazienką i mieszka teraz lepiej niż magistrowie w mieście. Obecnie namawiam go do kupna ciągnika. Panie, mnie to cieszy, kiedy widzę, jak się ta nasza łaska wieść zmienia. Nie ma już nieosiągalnego luksusu. Bo ta używana „Syrenka” za 30—40 tysięcy to jest kwestia odchowania w ciągu roku dziesięciu świniaków...

Więc ja, jako Kopka, chłop z urodzenia, patrzę na interesantów: punktu widzenia rolnika. Kiedyś może mnie kto ochrzanić, że sprawę rolnictwa stawiam w banku na pierwszym miejscu. U mnie sprawa finansowania stoi na drugim miejscu. Wygląda to mniej więcej tak: Zgłasza się rolnik z wnioskiem o udzielenie kredytu, więc ja łapię samochód, a mamy jeden na pięciu urzędników, i jadę na miejsce.

Chodzę, oglądam obejście, inwentarz, przysięgam ten inwentarz do arealu upraw, liczę też członków rodziny i wdaję się z gospodarzem w dyskusję na temat, w co i ile pieniędzy należałoby zainwestować. Często udaje mi się odwieść rolnika od pierwotnych zamiarów, udowadniając, że były one niesłuszne z punktu widzenia ekonomicznego.

Znam problematykę, więc ludzie mi wierzą. Widzi pan, jakie tu u mnie pracują ładne kobietki. Młode, zdolne i pracowite dziewczyny, umiejące z taktem podejść do interesanta. Ale często rolnik staje przed biurkiem, potakuje, że tak, owszem, chciałby tak sprawę załatwić, a potem baka, że jednak chciałby na osobności pogadać z Kopką...

Idę wszystkim na rękę, ale szczególnie stawiam na młodych. No i na większe gospodarstwa towarowe. W takie warto inwestować. Efekty uwidaczniają się bardzo szybko. Weźmy tylko dla przykładu wzrost pogłowia bydła, które pociąga za sobą zwiększone dostawy mleka i mięsa na rynek.

Ale jeszcze raz zaznaczam, że jako Kopka sprawę finansowania uważam za ważną, lecz nie mniej istotna jest dla mnie dobra rada. Bank Rolny winien być doradcą...

W roku 1973 w gminie Dobroń z kredytów udzielonych przez Bank Rolny skorzystało 16 rolników. W gminie tej nastąpił wzrost pogłowia bydła do 9,5 szt. na 100 ha, przy średniej w powiecie, wynoszącej 6,3 szt.

Kopka chce natychmiast udowodnić, że Bank, w którym dyktuje, jest

CHCIAŁBYM Z KOPKĄ

naprawdę doradcą. W tym celu ściąga do gabinetu interesantów, podsuwa krzesło, grzecznie prosi do siadania, żeby, jak mówi, dodać człowiekowi odwagi i skrócić dystans, po czym zadaje bardzo polityczne pytanie, którym jeszcze przed czterema laty zamknąłby każdemu gębę na kłódkę, albo też wywołał niebezpieczną wymianę zdań. Pyta mianowicie o ocenę warunków, jakie stwarza państwo rolnikom. Ludzie mówią otwarcie, że jest dobrze: pewny zbył po takich, jak trzeba cenach, byle tylko nadażyć z produkcją. Wszystko się zgadza. Na wsi nastąpił wzrost dochodów o czym może świadczyć fakt, że w latach 1971—1973 (pow. łaski) zwiększyły się o około 50 proc. oszczędności, lokowane głównie w SOP-ach.

Stanisław Kubiak z Balucza posiada gospodarstwo o powierzchni 5,63 ha. Wziął je po teściowej, całkiem podupadłej. Pożyczony z banku 20 tys. na wzniesienie budynków gospodarczych, ale było za mało. Obora stoi, dwie izby nie wykończone. Chce budować nowy dom. Bał się, tak za pierwszym razem, zaciągnąć większy dług u państwa. Ale nie było się co bać, gdyż posiadają trzy krowy (czwartą sprzedali na budowę), wolca i jaszkę. Teraz Kubiakowa zmaździła (jajka były w cenie!), więc sprowadza sto kurcząt i wie, że z każdego długu może się wypłacić.

Zamierzają dokupić od starej gospodyni 3,90 ha gruntu. Żeby konia

utrzymać, no i mąż zamilowany do ziemi, córka ma 17 lat, a syn w wojsku, po SPR, i on będzie gospodarzem.

Dyrektor Kopka wyjeżdża ze swoim „konikiem”.

— Łazienkę zaplanowaliście w nowym domu?

Pewnie! Potrzebna, bo człowiek więcej się brudzi niż w mieście.

— Słusznie! Woda musi być. Słyszalem, że odstawicie po 35 litrów mleka. Nieźle, ale pamiętajcie, że jak się krowy nie dopoi, to już litr mleka straci...

Zasypany pytaniami rolnik z Dobrońki mówi:

— Mam 13,20 ha gruntu, w tym sporo łąk. Krowę pięć, dwie jaszkę, konia, świnię... Z tymi łąkami to mordęga, bo za Boga nie można dostać przetrzasań. Ojciec mój postawił drewniany dom w 1918 r. Ten dom nie pasuje już do dzisiejszych czasów. Chce zbudować murowany, duży, taki 10 x 11 m. Buduję się dlatego, że myślę do śmierci pozostać na wsi. Teraz nawet ci z miasta będą wracać na wieś. Syn jest po SPR, córka studiuje na pierwszym roku WSR w Poznaniu.

— Dobrze — przerywa Kopka, spoglądając na wniosek — chciałem tylko powiedzieć, że jak tu jeden przyszedł do mnie, chcąc budować dom za 30 tysięcy, to go spytałem, czy zamierza przeznaczyć te pieniądze na głajchy. 50 tysięcy to za mało...

„NIGDY NIE WRÓCĘ DO SWOICH DZIECI...”

Jesteśmy społeczeństwem młodym, bardzo młodym. Ponad połowa z nas ma mniej lat niż Polska Ludowa. Jednak w ostatnich latach obserwuje się zjawisko stałego wzrostu liczby ludności w wieku 60 i więcej lat. Demografowie przewidują znaczne powiększenie się tej grupy już w latach 1970-1975, 1980-85, 1985-90. Dane szacunkowe mówią, iż w ciągu najbliższego dwudziestoletnia liczba ludzi w wieku około 80 lat wzrośnie ponad dwukrotnie. Największe skupiska ludzi w wieku sędziwym poprodukcyjnym znajdują się w dużych miastach. Przewiduje się, że około roku 2000 co czwarty mieszkaniec Łodzi, Warszawy, Katowic dobiegać będzie wieku emerytalnego.

Wydłużenie przeciętnego okresu życia ludzkiego o dobrych kilkanaście lat jest faktem pozytywnym. Wiąże się z nim jednak szereg problemów wymagających natychmiastowego rozwiązania. Zmusza do refleksji... Każda bowiem zwłoka działa na naszą wspólną niekorzyść. Podstawowym więc zagadnieniem jest opracowanie takiej koncepcji, aby system opieki zdrowotnej i społecznej działał możliwie idealnie. To jedna, istotna strona medalu. Druga natomiast nie mniej ważna, która już dziś rysuje się z wyrazistą ostrością, to kwestia moralna tego zagadnienia. I tej właśnie sprawie chciałbym poświęcić niniejsze rozważania.

Przenieśmy się więc do Państwowego Domu Rencistów nr 2 w Łodzi, przy ulicy Dojazdowej.

Piękny, dwupiętrowy, nowoczesny budynek otoczony wypielęgnowanym parkiem — ogrodem. Wnętrze przekracza najśmielsze oczekiwania: dywany, palmy, miękkie wygodne fotele. Wszędzie wprost szpitalna czystość. Pokoje 1-2 i 3-osobowe. Funkcjonalne i estetyczne. Piękna jadalnia i świetlica. Kolorowe telewizory i bogato wyposażona w książki i czasopisma biblioteka.

— Domy Rencistów powstały przede wszystkim w celu zabezpieczenia spokojnej starości ludziom samotnym, pozabawionym przyjaciół i rodziny — mówi dyrektor, Andrzej Martini.

Kto natomiast zamieszkuje ten dom, jacy ludzie, dlaczego się tu znaleźli? Najlepiej niech powiedzą sami. Dodam tylko, iż przeważająca liczba moich pensjonariuszy posiada bliską rodzinę, własne dzieci dobrze zabezpieczone materialnie. Często na wszystkich eksponowanych stanowiskach.

— Boję się swojej córki, swoich dzieci — mówi z łękiem w oczach 69-letnia pani O. Przed przybyciem do Państwowego Domu Rencistów mieszkała z córką i zięciem. Przez długich kilka lat córka z zięciem mieszkali u niej w jednym niewielkim pokoju z kuchnią. Jeszcze tam na „starych śmieciach” córka w krótkich odstępach czasu „spretentowała” matkę troje dorodnych wnucząt, które babcia sumiennie i z ochotą wychowywała. Dorodne wnuczeta rosły i

wszystko było prawie dobrze. „Było znośnie” — jak określiła pani O. — „dopóty córka z zięciem mieszkali u mnie”. Systematycznie oddawała rentę, dobrze pracowała — nie leniła się — jak powie później zięć, troskliwie dbała o wnuki.

Idylla przemieniła się w istne piekło z chwilą, gdy córka miała otrzymać swoje upragnione M-3.

„Trochę to mało” — martwili się szczerze małżonkowie. „Jest jednak wyjście” — wykrzyknął zięć po dłuższej rodzinnej debacie. Teściowa oddając swoje mieszkanie do dyspozycji kwaterunku, może otrzymać swój pokój przy nas. Babcia miała lekkie opory — rzekła: „mnie to starej razem z młodymi — mówiła. Zięć jednak wątpliwości babci rozwiązał błyskawicznie. „Mamusiu kochana — przekonany — w jednym pokoju było nam tak dobrze, to jak wspaniale, przytulnie będzie w trzech z łazienką”.

— Pewnego dnia — mówi cicho pani O. — usłyszałam krzyki na podwórku. Podeszłam do okna w „swoim pokoju”, uchyliłam firankę i patrzyłam. Akurat zięć wracał z pracy. Zobaczył mnie w oknie, i padł do domu i prosto do mnie: „Ty stara cholero nowe firanki, a ty swoimi łapami brudzisz...”. Pobit mnie wtedy. Interweniowała milicja.

Wiosną — mówi dalej pani O. — zostaliśmy wszyscy zaproszeni na wesele do rodziny z Kutna. W dniu wyjazdu córka wysłała mnie po zakupy do sklepu. W tym czasie spakowali się, zamknęli mieszkanie i wyjechali. Gdyby nie sąsiadka, która zabrała mnie do siebie, musiałabym te dwa dni przesiedzieć na klatce schodowej.

Chwilę względnego spokoju miałam tylko w czasie ich nieobecności. Z chwilą powrotu z pracy zięcia lub córki, nie miałam prawa napić się nawet herbaty. Chodziłam więc czasem po wrzaskach do sąsiadów, chociaż bardzo się wstydyłam, mieszkając przecież z własną córką...

„Kiedys zmoczyła ją ulewa — mówi jedna z sąsiadek. — Przyniosła wtedy do mnie swój sweter, aby wysuszyć, bo córka u siebie nie pozwoliła”.

Pani W. Zadbana, miły ujmujący uśmiech. Lat 85. Syn, wysoki urzędnik. Zajmuje z żoną i córką dwa pokoje z kuchnią. Placi za utrzymanie matki w Domu Rencistów. Jego „troskliwość” na tym się kończy. Uważa, że jest w zupełnym porządku wobec matki i społeczeństwa.

Pani W. na pytanie, czy chciałaby wrócić do rodzinnego domu, odpowiada łzami. Po uspokojeniu cicho mówi: „Wolałabym zostać tutaj, aby nie przeszkadzać mojemu najdroższemu synowi, którego kocham nad życie...”

— Chciałam przyjechać tutaj sama — mówi cichym głosem pani K., lat 76. — Dzieci mają przecież tylko dwa pokoje z kuchnią... (Dzieci tzn. syn z żoną). Wnuczka, dorosła już panna, lat 17, też powinna mieć swój pokój... Często przychodzą do niej koleżanki, koledzy... Także do syna przychodzą znajomi z pracy, dyrektorzy nawet... Jakże więc tak razem, ja i oni młodzi...

Wiem, że dzieci i wnuczka bardzo mnie kochają, tylko ta lokalowa ci-

snota, dwa pokoje z kuchnią, to przecież dla nich samych za mało, co mówić o mnie starej... pan rozumie?

Oczywiście, że rozumiem, przecież to tylko dwa elegancko umeblowane pokoje z kuchnią. Diabelna ciasnota. Dziwna tylko, iż przez 17 lat starczyło miejsca i dla pani K. No tak, ale wtedy matka — babcia musiała wychowywać wnuczkę, musiała sprzątać, pracować, robić zakupy. No i miała więcej siły, była młodsza, dużo młodsza. Zresztą wnuczka już dorosła... „Matka ma przecież swoją rentę. Z powodzeniem może przebywać w Domu Rencistów” — powie później syn. — „Niewątpliwie czuje się tam lepiej, niż w naszym domu. Tam ma odpowiednie dla siebie towarzystwo, łatwiej znajdzie wspólny język niż z nami, młodymi”.

— Bardzo tęsknię za rodziną, za wnusią — kończy pani K. — Żeby tylko Hanezka (wnuczka) częściej mnie odwiedzała... No tak, ale ona biedaczka ma tyle nauki, teraz tyle zadają, prawda panie. Syn też bardzo zapracowany, słyszałam, że ma sobie sprawić nowy samochód...

Pani B., lat 88. Zmęczona spojrzeniem, ciężkie, spracowane dłonie. W Państwowym Domu Rencistów przebywa od roku 1966. Poprzednio zajmowała małe, samodzielne mieszkanie, pozabawione wszelkich wygod, nawet bieżącej wody. Przed zamieszkaniem w Domu Rencistów, pani B. utrzymywała się ze swej 701-złotowej renty. Pracę zarobkową rozpoczęła w 9 roku życia. Wychowała i wykształciła własne dzieci i wnuczki. Syn przez długi okres zajmował wysokie stanowisko w administracji państwowej. Obecnie szanowany emeryt. Nie interesuje się losem matki. Pobyt w Domu Rencistów załatwił jego matkę w sposób dyskretny opiekun społeczny.

— Mam dwie siostry, sporo młodsze i syna — mówi. — Wole jednak mieszkać tutaj — w Domu Rencistów. Tutaj człowiek chociaż uszanowany. Personel jest taki miły, serdeczny. Dyrektor, choć mógłby być naszym wnukiem, jest jak najtroskliwsza matka, taki czuły, ujmujący, nie poskapi nikomu słowa pociechy, sympatyczny... Dzięki temu czujemy się jeszcze potrzebni, wartościowi...

Państwo U. Małżeństwo, które pobrało się tutaj, w Domu Rencistów. — Wesele było huczne, bawiliśmy się lepiej niż w latach młodości — mówi z uśmiechem niedawna panna młoda. W trakcie dalszej rozmowy uśmiech powoli zniknął z twarzy młodej rozmówczyni. Pojawiają się łzy.

— Syn podwiózł mnie swoim samochodem — mówi 67-letni pan U. — Przywiózł moje rzeczy i... na tym nasze kontakty się urwały. Nie był nawet na naszym weselu... — Poprzednio byłam zupełnie samotna. Dzieci nie zaglądały do mnie w ogóle. Bałam się choroby, samotnej śmierci... Tutaj mam wokół siebie ludzi życzliwych, którzy pomogą w każdej trudnej sytuacji.

Pani W. M., lat 94: Patrząc na pannę W. M. nie chce się wierzyć, że może mieć tyle lat. Drobną, żywotną, schludnie, wręcz elegancko ubraną.



Fot. Archiwum

— Proszę nie krzyczeć, proszę mówić do mnie normalnym tonem — powiedział, gdy próbowałam rozmawiać z nią jak z osobą o osłabionym słuchu. Pani W. M. jest członkiem ZBOWID. Z organizacją utrzymuje bardzo żywe i serdeczne stosunki.

— Organizacja ta pamięta o każdej mojej uroczystości, o dacie urodzin, imienin... W każde święto odwiedzają mnie moi koledzy zbawidowcy, a także młodzież, harcerze... — mówi pani W. M. — Nie mogę się skarżyć, nie mam dzieci, ani żadnej rodziny... A to, co robi dla mnie personel, dyrektora tego domu, działacze ZBOWID-u, już mi wynagradza moją samotność, umila moją starość...

Inne opowieści były podobne. Zawierały to samo. Dramat rodzinny. Ogromny, bolesny dramat, którego nie są w stanie wyrzucić z serca tych ludzi najlepsi opiekunowie, dyrektorzy, przyjaciele... Zastanawia mnie jedno. Czy mi nie potrafiły zaplanować swojej starości? Tak świetnie przecież potrafiły planować kupno lodówki, pralki, samochodu... A starość? No, tak, jesteśmy przecież młodzi, przynajmniej względnie młodzi, w pełni sił produkcyjnych, twórczych... Mam swoje rodzinne domy, dzieci, dla których żyjemy, pracujemy... Gdzieś tu jednak tkwi błąd. Czy nie w nas samych? Dojrzałych ludziach? Rodzicach? W naszym spo-

sobie wychowywania własnych dzieci? W naszej rodzicielskiej, nieumiejętności? A może to tylko nasz egoizm? Może chęć wygodnego życia. Wygodnego za wszelką cenę? Za enę szacunku, godności, moralnej odpowiedzialności? Sądzę jednak, że tej ostatniej nie jesteśmy w stanie uniknąć...

A przecież nie jesteśmy tacy zupełnie obojętni na ludzki los... Potrafiemy troszczyć się o ludzi starych, o naszych byłych kolegów z pracy, którzy przeszli na zasłużony odpoczynek. Rady zakładowe, organizacje młodzieżowe interesują się życiem swych byłych pracowników. Szczególnie młodzież chętnie zajmuje się tymi sprawami... Skąd więc bierze się tyle ludzkiej tragedii? „Nigdy nie wrócę do swoich dzieci, boję się ich. Chyba nie warto być dobrym...” To słowa moich rozmówców z Państwowego Domu Rencistów. Rozmówców, którzy znaleźli się tutaj z różnych względów, najczęściej wbrew własnej woli. Kiedys byli potrzebni społeczeństwu, rodzinie. A dzisiaj?

— Czasami — mówi dyrektor Andrzej Martini — przyjeżdżają i tacy rodziny eleganckimi samochodami, wręcz okolicznościowy kwiaty, czy ojców. Chwila rozmowy w hallu i... do zobaczenia przy następnej okazji. Okazji, na którą z reguły trzeba długo czekać.

NA OSOBNOŚCI

— Ale ja mam sporo materiału...
— Za ile by pan sprzedał ten dom, już gotowy?

— Za 200 tysięcy!
— No to bierz pan większy kredyt! Po co potem sprzedawać krowę.
— Ja wiem — mówi rolnik — trzeba potem czekać cztery lata na odchowanie nowej, nie ma groza za mleko i leży się z ratami.
— Łazienka będzie? — ciągnie swoje Kopka.

— Tak jest! I schowek. I piwnice, fundament robię na 60 centymetrów.
— To znaczy, że wejście do piwnicy będzie z sieni. I wciąż bałagan, niewygoda. Lepiej podciągnąć fundament i zrobić wejście z podwórka!
Kopka promienieje. Potrafił udowodnić, że bank jest doradcą. Mówi, że często musi przekonywać rolników o celowości zaciągania większego kredytu. Niekiedy to nawet sądzą, że jest taki przynus.

— A sprawa polega na tym — wyjaśnia Sabina Renkowska, inspektor kredytowy — żeby oszczędzać czas i własne środki. Ci, którzy wkładają w inwestycję nadmiar własnych środków, obniżają produkcję i nie nadążają za spłatą rat. Kiedy kredytu zabraknie, wypełniają kolejne wnioski, odrywają się od pracy, a Bank też niepotrzebnie po raz wtóry wykonuje tę samą czynność.

Kopka zaciera ręce i obiecuje pokazać mi w terenie, że to nie są puste słowa i że oplatę się zaciągać wysokie kredyty...

Młodzi rolnicy pragnący na-
być gospodarstwo w Państwowym
Funduszu Ziemi, otrzymują
kredyt długoterminowy. Odsetki
wynoszą 1 proc. Kredyt ten
spłacają w ciągu 30 lat.

Kiedy pod Karszewem kota zaczęły buksować w błocie i „Wolga” balansowała nad rowami, zrozumiałem, dlaczego dziewczyna w ciemnych okularach życzyła mi na odjeździe drogą. Dotarliśmy jednak do zagrody Salagaackiego.

— Ja tam tego kredytu nie załatwiałem — powiedział gospodarz — tylko córka, która bardzo jest rozmiłowana w gospodarstwie. Mówiłem jej, że 30 tysięcy to prawie nic, bo już sam majster weźmie za robotę 12 tysięcy. I dobrze, że jak pan dyrektor przyjechał, zmieniło się ten wniosek na 50 tysięcy. Ale i tego było za mało, więc trza było wziąć dodatkowo czterdzieści. Teraz mamy za to pięć izb, łazienkę, schowek, centralne ogrzewanie. Trzeba się urodzić w mieście, żeby ciągnąć za miastem, tak jest! Ziemi bym jeszcze dokupił, panie dyrektorze, od 30 lat uprawiam ponad hektar, ale to teraz należy do PZP.

— Załatwimy od ręki — zapewnił Kopka.

Następnie pani Renkowska poprowadziła nas do Aniellina. Stala tam obojętna po byłej spółdzielni produkcyjnej. Najpierw ktoś w niej hodował pie-

czarki, a gdy zaprzestał, zaproponowano otworzyć w oborze produkcję prefabrykatów. Agromon Krzykowski sprzeciwił się twierdząc, że budynek należy wykorzystać do produkcji rolniczej.

W oborze zastaliśmy karmiącego bukaty Stanisława Maniasa.

— No tak powstała ta nasza spółka hodowlana — powiedział.
— Dyrektor przyjechał na miejsce, zaraz dał 35 tysięcy i zgodził się na 400 tysięcy kredytu obrotowego. Wykorzystaliśmy 360 tysięcy, ale dyrektor mówił, że lepiej niech zostanie, jak ma zabraknąć.

Wszystko załatwiał za nas bank. Placił za bukaty i za pasze, teraz bierze pieniądze ze sprzedaży, na koniec wypłaci nam zysk jaki będziemy mieć z tego interesu. Bukatów było 73, zostało 19. Ale będziemy kupować nowe, oddaliśmy we trzech, bo tyłu jest w spółce, 7 ha ziemi pod uprawę na paszę, tak że jakoś damy sobie radę. Oplaciło się nam dać taki duży kredyt, bo niech pan tylko policzy, ile mięsa otrzymało państwo, kiedy jeden bukat liczy średnio 350 kg.

Kopka chciał mi jeszcze przedstawić Stanisława Ruszkowskiego z Okup, ale ten akurat wyjechał do Łasku. W obszernym obejściu znać ślady zaniedbania. Ale jest już garaż, kilka nowych maszyn rolniczych. W sieni lodówka, wszędzie czuć zapach jabłek. To zrozumiałe, bo za stodołą rozciąga się wielki, jeszcze młody sad.

Ruszkowskiemu bank udzielił 288 tysięcy kredytu, za który młody rolnik kupił podupadłe, 13-hektarowe gospodarstwo od podeszłej wiekiem Janiny Majzerowej.

Ruszkowskiemu, który jest agronomem, ciasno było u teściów, więc u samodzielnili się i wraz z małżonką przymyca do życia zaniedbane gospodarstwo. Od jesieni ub. roku w kooperacji ze spółdzielnią produkcyjną w Hucie Janowskiej zdążył wyhodować 27 bukatów.

Młodzi potrafili gospodarować, są zawsze wypłacalni; kiedy oni stają się właścicielami gospodarstw, unika się kłopotów z przepisywaniem ziemi.

W roku 1972 Oddział Kredytowy Banku Rolnego w Łasku udzielił kredytu na zakup 46,9 ha ziemi z PZF: w roku 1973 już 117,4 ha, w bież. roku zaś planuje się sprzedaż 150 ha, lecz chętnych będzie prawdopodobnie więcej.

Przed kilkoma laty pisałem, że ziemia traci na wartości. Nie było w tym przesady. Dziś muszę napisać, że cena ziemi rośnie. I też nie będzie w tym przesady. A powiat łaski wcale nie jest tu wyjątkiem.

Przed laty młodzi ludzie z południowych krańców powiatu, nie widząc żadnych perspektyw na ojcowiznie, pakowali manatki i ruszali na Śląsk, mniej odważni zaczęli się w Dziąlszynie.

Mieszkali w hotelach robotniczych i męczyli się, tęskniąc za swobodą, za swoją wsią, gdzie każdy był blis-

ki, znajomy. Zasmakowali pracy w przemyśle i stwierdzili, że może być nawet cięższa niż rolnictwo w gospodarstwie. Nie zasymilowali się.

Kiedy nowy kurs polityczny i społeczny partii i rządu zapalił nad wsią zielone światło, ludzie zaczęli wracać. I właśnie w południowych rejonach powiatu obserwuje się największe zainteresowanie ziemią, zwłaszcza wśród młodych rolników.

Niektórzy nie chcieliby się rozstać z własną wsią, toteż szukają gospodarstwa jak najbliższej. Ale jeśli trzeba, przenoszą się do innych wsi. W Łaskiem osiedlają się nawet przybyłe z innych powiatów.

Opowiadał mi Kopka, tak dla przykładu, jak udzielał kredytu młodej kobiecie, która kupując ziemię pragnęła sprawić niespodziankę i szczególnie prezent młodzi, odbywającemu służbę wojskową.

Myszę, że Józef Kopka przekonał mnie we wszystkich punktach. Aby jednak miał spokojne sny dodam na zakończenie, że Komisja Rolna KP PZPR wysoko oceniła wkład Banku Rolnego i SOP-ów w dzieło intensyfikacji produkcji rolnej. Jednocześnie Komisja Rolna zobowiązała służbę rolną i aparat rad narodowych do szerszego informowania o warunkach udzielania kredytów, popularyzowania hodowli oraz polecała urzędowi gminnym sporządzać wykazy gospodarstw potrzebujących pomocy finansowej, co niewątpliwie przyczyni się do dalszego rozwoju łaskiej wsi...

RYSZARD BINKOWSKI

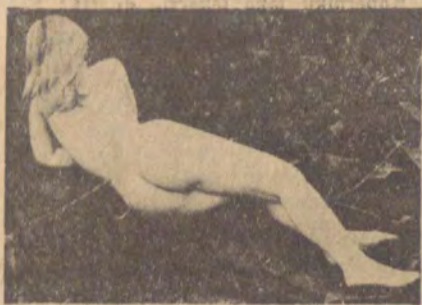


KAROL BARSZCZEWSKI

POLSKA VENUS OD TYŁU

I
Życie seksualne Eskimosów, to, proszę państwa, temat na bardzo długie opowiadanie; rzecz można, że nawet na kilka oardzo długich opowiadań, a poza tym to oni, proszę państwa, co już przekracza wszelkie granice nie tylko przyzwoitości, miast całować się normalnie, śródziemnomorskim systemem „usta-usta”, pocierają sobie nosy o nosy. Zamieszkują oni te obszary globu, na których noc trwa najmniej pół roku, pogłowię ich jest stosunkowo nieelczne, domki (tzw. igloo) mają ciasne i chłodnawe i polują na fokki, białe niedźwiedzie, morsy i inne ryby. Uprawiają sztukę w formatach niewielkich. Tworzywem jest kość, a oczy mają czarne, a rączki mają małe i po morzu pływają w skórzanych kajakach. Mój Boże! I dlaczego oni są tacy?

II
Cokolwiek by nie powiedzieć o naszej historii, to faktem jest bezspornym, że obok mężczyzn występują w niej także kobiety. Tego ukryć się nie da ani przemilczeć nie sposób. Wice Maryle, Marysienki, Marie, Elizy i Emilie, Barbary, Wandy, Zosi... Imiona, imiona,



imiona. Niezależnie od tego jakim drzwiami owe panie do naszej historii weszły, czy weszły do niej od frontu, czy drzwiami kuchennymi, to łączy je jedna wspólna rzecz. Otóż wszystkie one pod szatami swymi, niezależnie od tego, jak wiele ich miały na sobie, czy tak mało ich miały, czy były to szaty bogate czy skromne, otóż pod owymi szatami wszystkie one były nagie. Można by to samo powiedzieć o mężczyznach, że i oni pod zbrojami, kontuszami, pod luzurkami, frakami, sutanami, mundurami, pod garniturami i kufajkami też byli nadzy, ale to nie ma nic do rzeczy, i to nas w tej chwili nie interesuje, albowiem w myśl tego, co



rzekł jeden chłopiec do drugiego chłopca, a wiadomo że dzieci są wyjątkowo spostrzegawcze, dziewczynki są ciekawiej zbudowane od chłopców. Tak więc owe nagość pań pod szatami, mimo iż

była nagością potencjalną, tak to bowiem wypada nam tu ująć, była dla jednych czymś naturalnym, dla innych czymś cudownym, dla innych jeszcze czymś wysoce nie a'propos, wysoce nie stosownym, wręcz oburzającym, niemoralnym. Ci ostatni raz byli w większości, raz w mniejszości, ale byli zawsze i są nadal. Ich aktywność wyrażania swojej dezaprobaty dla nagości jest ponieważ zrozumiała, gdy uświadomimy sobie, że właściwie wszystkie kobiety w przeszłości i obecnie były i są pod swym odzieniem nagie, niezależnie od faktu, czy do historii weszły czy nie. Gdy dodamy do tego jeszcze przedziwną zupełnie i niezrozumiałą dążność ludzi do obnażania kobiecego ciała, do pozbawienia go wszelkich okryć i zasłon, do wyluskiwania go z szat, które to działanie towarzyszy całej historii człowieczej, dezaprobaty owych przeciwników nagości staje się tym bardziej zrozumiała.

A człowiek już taki jest, że mu ubranie czasami przeszkadza.

III
„Dziennik Łódzki” z dnia 15 lutego br. podał: „Z szybkością epidemii szerzy się wśród młodzieży wielu ośrodków studenckich USA nowa moda, tzw. streaking — co da się przetłumaczyć jako „przebieganie lotem błyskawicy”. Rzecz w tym, że owo przebieganie dokonywane jest na golasa. Kawalarze podjeżdżają do miejsc ruchliwych samochodem, nagle otwierają drzwiczki i ku osłupieniu publiczności pędzą do samochodu czekającego kilkaset metrów dalej, który natychmiast odjeżdża. Uniwersyteckie miasteczka były już widownią wielu masowych manil w rodzaju lykiania żywcem złotych rybek czy konkursów w rodzaju, ile osób weźmie się do budki telefonicznej lub samochodu (wliczając w to bagażnik). W stanie Maryland policja miasteczka uniwersyteckiego usiłowała ingerować, natychmiast jednak znaleźli się obrońcy nowej „zabawy”, pytający: „komu przeszkadza, że ktoś biegnie nago?”

Jak wiadomo nam z innych źródeł, wśród biegających duży procent stanowią dziewczęta.

IV
Piotr Potworowski znakomity malarz i człowiek wielkiej kultury i osobistego czaru, zwykł mawiać do swoich studentów: „Nauczenie się malować kobietę naga. Kiedy będziecie umieli namalować akt, namalujecie wszystko — pejzaż, martwą naturę, wnętrza, wszystko”. Nie on to wymyślił, ale jego właśnie słyszałem, jak to mówił. Coś w tym kobiecym ciele jest takiego, że raz pomaga, raz przeszkadza, ale zawsze budzi zainteresowanie. Z reguły żywe.

V
Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe wydało album „Wenus polska”. Jest to dalszy ciąg intensywnej działalności Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, które wstawiło się ostatnimi laty popularyzacją kobieci nagości. I to gdzie? W Krakowie! W stolicy barchanowych ciotek.

Tytuł albumu wydaje mi się być znakomity, jak również znakomite są tytuły kolejnych wystaw fotograficznych w Krakowskim Towarzystwie: „Wenus 1971”, „Wenus 1972”, „Wenus 1973” itd. Nawiazują one żywo do tradycji sarmackiej, kiedy to co drugi szlachcic ród swój wywodził od Aleksandra Macedońskiego, a w najgorszym wypadku od Cezarów. Mając takie tradycje trzeba było jakoś Wenus, zdomowioną przecież wśród naszych lasów i pól zielonych wpruć w rzeczywistość.

VI
Młynarski w piosence „Polska miłość” skarży się, że ta miłość polska mówi o sobie nieprawdę, gdy o sobie śpiewa. W przeciwieństwie do polskiej miłości polska Wenus, gdy pokazuje siebie, jest samą prawdą i tylko prawdą. Jest smętną prawdą.

VII
Nie udało się zbadać do końca, jak to jest naprawdę z Eskimosami. Eskimosów jest coraz mniej na świecie. Czy zdążymy? Podobno Eskimosi używają zdjęć z „Playboya” do polowania na morysy. Odbija się to tak: Eskimos podpycha cicho do leżącego na krze morsa, najlepiej płci męskiej, i znieśnacka podtyka mu pod nos barwne zdjęcie gołej panienki. Mors zaczyna kręcić głową, aż ją sobie ukręci i wtedy jest już upolowany. Inaczej reagują na zdjęcia męskie fokki. Foka — samiec na widok roznegliżowanej damy, leżącej przed kominkiem na przykład, zamyka z przerażenia oczy, a wtedy eskimoski myśliwy ma już połowę roboty za sobą. Wystarczy fokę dziabnąć harpunem i już.

VIII
Są podobno prowadzone pertraktacje handlowe, aby część nakładu albumu „Wenus polska” (20.241 egzemplarzy) sprzedać ja-



pońskim polawiaczom pereł. Przypuszcza się, że małże, którym będzie się pod nos podtykało zdjęcia zamieszczone w tymże albumie, będą produkowały pereł szybciej i taniej.

IX

Do tej pory przypuszczałem, że dziewczyny są ciekawsze (statystycznie rzecz biorąc) od przodu. Tak jednak nie jest. Dziewczyny, zwłaszcza nagie, są o wiele ciekawsze od tyłu. Przekonał mnie o tym album „Wenus polska”, w którym na 103 reprodukcje 31 przedstawia Wenus polską od strony pupy. Można więc zatem sądzić, że jest to dla Wenus polskiej ujęcie najbardziej korzystne. Ponadto w albumie zreprodukowanych jest 81 fotografii, na których lepiej lub gorzej widać piersi. Ponadto pań leżących jest 22 sztuki, siedzących tak czy inaczej 40 sztuk, wyraźnie stojących lub kroczących jest 32 sztuki. Pozostałe są w pozach bliżej nieokreślonych. Co najmniej 7 dziewczynom jest zimno. Jedna ma dżbanek przy czole, a jedna usiłuje schować się za świecznik dwuramienny, co tej się udało tylko częściowo. Niemal wszystkie zdjęcia są na niskim poziomie. Zdjęć z gatunku fotografii artystycznej nie zauważyłem. Zdjęć, które można by użyć do dowodu osobistego nie ma. Zdjęć o zabarwieniu erotycznym też nie ma. Jest trochę architektury, resztki bujnej one-gdaj polskiej przyrody, jakieś opuszczone rudery, trochę sprzętu rybackiego. Kilka zdjęć z włosami można by wykozystać do reklamy szamponów „Polle-ny” (ewentualnie). Autorami zdjęć są polscy fotograficy. Sami swoi. Cena albumu 90 złotych. Wstęp napisał Krzysztof Teodor Toeplitz. Trafna recenzję z albumu napisał Andrzej Oseka w „Kulturze” (nr 3 z 20 stycznia br.). Chciałbym jeszcze coś napisać o tym albumie, ale tak wertuję te gołe panie i wertuję i nie mi do głowy nie przychodzi. Równie dobrze mogłbym wertować magazyn katolicki, na przykład „Zorze”. Albo dziennik japoński.



X
Podobno Eskimosi mają to do siebie, że nie trzeba im niczego dwa razy powtarzać, pod warunkiem oczywiście, że się mówi do nich w ich ojczystym języku, który to język opanowali oni znakomicie. Ciekawostka.

XI
W ostatnim numerze „Odgłosów” Cwiek ma pretensje do Oseki, że ten nie pisze dobrze o polskiej Wenus. Mnie się podoba to, co pisze Oseka, bo Oseka pisze słusznie, kiedy pisze: „Sam album jest humorystyczny (...) Chodziło o to, by pokazać gołe panie, a jednocześnie, żeby to nie były po prostu gołe panie, tylko coś innego, szlachetnego, powiedzmy piękno kobiecego ciała, poezja bioder jak greckie amfory, naga radość życia na tle natury nieubraanej etc. Sadza się więc modelki goła pupa na piasku, albo każe im się podnosić dlonie ku niebu na tle rybackich sieci, kłasek na brzuchu na stomie czy trawie, przytykać do czola dżbanek, odcierać o szorstkie skały. Przede wszystkim zaś każe się im wyginać wszystko, co tylko można. Żadna z tych biednych, rozebranych kobiet nie zachowuje się naturalnie. Każda rzuca się, wypina, pochyla i konwulsyjnie rozprostowuje, omiata piersi rozwianym włosiem, zadziera brodę do góry, wysuwa przed siebie dlonie, krzyżuje nogi gestem niby to nonszalanckim, niby tanecznym. Bo to jest balet, ale na poziomie duetu z knajpy w prowincjonalnym miasteczku. Na poziomie statuetek, które w dwudziestolecie międzywojennym patronowały serwilnie wyrabianym lampom i popielniczkom”.

Natomiast Cwiek, któremu się nie podoba recenzja Oseki, ciągle nie rozumie, dlaczego na: „wystawie fotografii o tematyce „Warszawa” mówi się o świetnie uchwyconym pięknie Warszawy; na wystawie dotyczącej np.



kwiatów, owadów, listków — o pięknie najmniejszych stworów natury; natomiast na wystawie aktów wzmianka o „pięknie ciała kobiecego” przyprawia recenzenta o wybuch gwałtownej pasji”.

No, właśnie — dlaczego?
„Ktoś lubi fotografować nagie kobiety, a ktoś inny lubi je oglądać. I już. Czy z tym się trzeba maskować? Czy trzeba szukać jakichś innych alibi? Byłoby tylko ten, co lubi fotografować akty, robił to dobrze i bardzo dobrze, żeby z tego umiał zrobić dzieło sztuki, a nie tylko narzędzie do mechanicznego laskotania czyichś niewyżytych seksualnych organków”.

Tak pisze Cwiek, któremu nie podobają się to, co pisze Oseka.
Nie ma się o co kłócić. Ani zdjęcia w albumie nie są dobre, ani też niczych organków nawet seksualnie niewyżytych mechanicznie laskotać nie będą. Nie ma w nich bowiem ani sztuki ani seksu. Jest tylko poza na pozie pozę pozę poganiająca. Ktoś zaraz powie, że to przecież czołówka naszych artystów fotografików robiła te zdjęcia. No, cóż, w konkurencji „Akt” mamy kiepską czołówkę. Zamieszczone w albumie fotokopie wpisów z księgi pamiątkowej Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, wykładanej na kolejnych wystawach „Wenus” świadczą natomiast dowodnie, że choć fotografów mamy słabych, to publika jest znakomita.

XII

Wpisy:

„Zapytuję — komu i na co potrzebna taka tematyka wystaw? Czy te eksperymenty fotograficzne mogą być wykonane tylko na obiektach „gołych tyłków”? A właściwie — dla kogo urządzono tę wystawę? (dla zboczeńców)”.

Brak podpisu

„Kobieta na fotografii to jak gruszka na wierzbie!”

Miłośnicy z Wałbrzycha

„Gdy skończę AGH, przyjadę tu fedrować”.

Pierony!!

„Zapytanie! Czym autorzy tych prac zajmują się oprócz fotografii?”

Urszula

„Z naszego punktu widzenia wystawa bardzo dobra, tylko że za małe pomieszczenie i zdjęcia powinny być trochę rozmieszczone w większej odległości od siebie, bo tak zlewają się ze sobą dając mało efektu ze względu na to, że rozprasza uwagę i nie można się skupić nad danym eksponatem. A tak ogólnie wystawa jest na cztery plus.”

Szkoła Milicyjna we Wrocławiu

„Już nie boję się ożenić!”

Kawaler

XIII

Eskimosi są zdania, że pornografii jako takiej nie ma. Pornografię tworzą oglądający i tylko oni. Na przykład u Eskimosów nieznany jest zupełnie gatunek sztuki, zwany potocznie „rysunkiem kłozetowym”. Może dlatego, że u nich nie ma w ogóle „stawojek”?

XIV

Eskimos do Eskimosa:

— Idziesz na łądkę?

— Nie, idę na biegun północny.

Autorami reprodukowanych fragmentów zdjęć są: Tadeusz Link, Andrzej Krynicki, Adam Mozdżeń i Stanisław Chybowski.

OSTATNIZ FUTURYSTÓW

DOKTOR KOPERNIK

Poezja Grigorija Pietnikowa, wybitnego futurysty rosyjskiego, przyjaciela Władimira Chlebnikowa i Włodzimierza Majakowskiego jest mało znaną dla czytelnika polskiego, jeśli nie zostanie dokonana właściwa selekcja materiału poetyckiego, jeśli świat wizji poetyckiej Pietnikowa, stały już przecież i zaprzeczony, nie zostanie wskrzeszony właściwym wyborem wierszy. Wybór wierszy G. Pietnikowa dokonany przez Tadeusza Chróścielewskiego wskazuje wyraźnie, że nadzwykczym celem tłumacza stało się przybliżenie twórczości Pietnikowa jego polskiemu odbiorcy. Troska o najbardziej pełną percepcję tłumaczonej poezji przejawiała się zarówno w wy-

bieżącym Chróścielewski koncentruje uwagę na sylwetce G. Pietnikowa, mało komentując jego twórczość. Czuje się, że autor wyboru świadomie ograniczał swą wypowiedź, aby dać poecie możliwość opowiedzenia o sobie własnymi utworami, gdyż prawdę o twórcy poznać można tylko poprzez jego dzieło.

Również pozostali autorzy tłumaczeń odnaleźli w twórczości rosyjskiego poety te utwory, które bliskie im były z ducha i stylu, które odpowiadały ich własnej koncepcji przekładu. Nie jest to zarzut. Każdy tłumacz winien sięgać tylko po tę literaturę, która jest bliska jego własnej twórczości. Tak bywało zawsze w przypadku udanych

czy znalazłby się ktoś na tyle odważny, by twierdzić, że któraś z nich jest lepsza. Obie mogą się wykazać wspólnymi przekładami.

W obecnych czasach charakteryzujących się intensywnymi kontaktami kulturalnymi osiągnięto taką doskonałość przekładów, że można je nazywać wyższym stopniem wtajemniczenia, doskonałością niedostępną dla imitatorów, a otwartą jedynie dla talentów. T. Chróścielewski posiada zadziwiającą umiejętność przetworzenia języka oryginału, materiału słownego — archaizmów, neologizmów i wyrazów pospolitych, z których wyrasta wiersz bardzo bliski w warstwie semantycznej do rosyjskiego oryginału. Wielu tłumaczy polskich twierdziło, że neologizmy futurystów rosyjskich są zupełnie nieprzetłumaczalne. Również Edward Balcerzan publikując w „Poezji” esej „Cztery obłoki Majakowskiego” dał wyraz temu pogładowi, a ponieważ jego przekłady z G. Pietnikowa dowodzą czegoś wręcz przeciwnego, to podobny pogląd Balcerzana należy uznać niejako za samokrytyczne dążenie do doskonałości. Polscy znawcy poezji rosyjskiej podejmują śmiało kroki w celu zbliżenia dwóch obszarów poetyckich, stworzenia polskich adekwatów obrazowo-metaforycznej leksyki rosyjskiej. U niektórych, jak Jan Spiewak, Tadeusz Chróścielewski, Anna Kamińska, Jan Huszcza, wyczuwa się pragnienie wykorzystania frazeologizmu rosyjskiego dla wzbogacenia własnego języka poetyckiego.

Szczególnie pod tym względem charakterystyczny jest „polski” Pietnikow Tadeusza Chróścielewskiego. W jego przekładach odczuwa się rosyjską tradycję językową i poetycką, a jednocześnie jest to wytwór dwóch słowiańskich języków, bez sztucznej naturalnej zamiany rosyjskiego na polski. Wiersze rosyjskie bez reszty wrastają w język polski. Jest to najbardziej cenny element twórczości przekładowej T. Chróścielewskiego...

W Majakowski jest znany w Polsce już od dawna, a mimo to złożona specyfika poezji Majakowskiego, jej narodowe korzenie pozostają w dalszym ciągu nie odkryte dla polskiego czytelnika. Być może nowe pokolenie tłumaczy dotrze do głębi tej poezji i wtedy zająłby się ona całym swym blaskiem. Choć trzeba powiedzieć, że Majakowski i tak miał szczęście. Inni poeci jego pokolenia, a między innymi Pietnikow są właściwie nieznani w Polsce. Pietnikowem zainteresowali się dopiero kilka lat temu Jan Spiewak, Tadeusz Chróścielewski i Igor Sikirski, choć w swoim kraju był on szeroko znany już w 1916 roku, a Władimir Chlebnikow cenili go najwyżej spośród plejady poetów lat wojny i rewolucji.

Tadeuszowi Chróścielewskiemu udało się zgromadzić ciekawy materiał biograficzny o Pietnikowie, prezentowany w tomie, a także dokonać reprezentatywnego wyboru poezji Pietnikowa. Czytelnik spotyka się z poezją, która przekazuje drogę życiową jednostki — autora, jego pasję i światopogląd, a przy tym przekazuje obraz epoki, która przemawia własnym językiem, własnym — w sensie kształtowania się nowego porządku społecznego w świecie.

Polskiego Pietnikowa uchroniono od narzucenia mu zwyczajowego języka rosyjskich futurystów, znanego czytelnikom z przekładów innych rosyjskich poetów. Tam, gdzie to było możliwe i potrzebne, zastosowano w przekładzie obrazowo-językowe adekwaty, tam zaś, gdzie nie było polskiego „odpowiednika” sięgnięto do transformacji, która jest niebezpieczna tylko dla

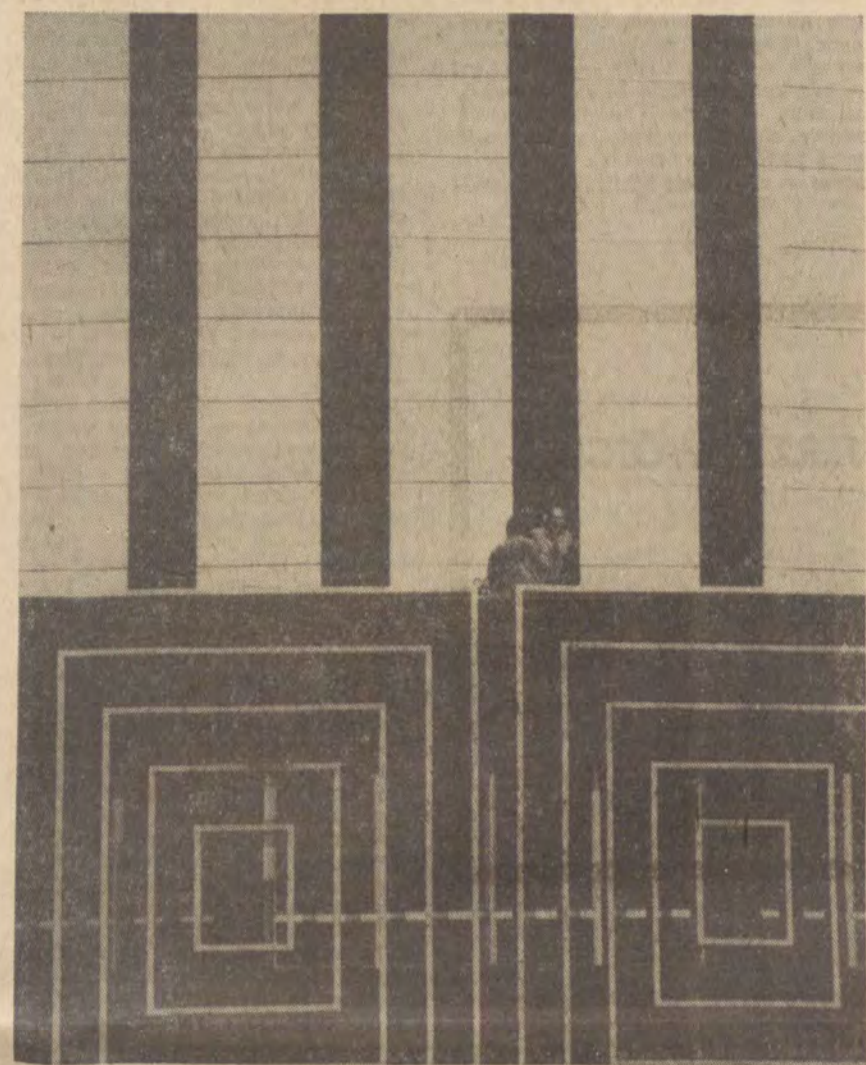
niedoświadczonych, mało wrażliwych tłumaczy, u których przekład „wzbogaca się” wtedy o całą masę własnych wtętwów, słów pustych i niepodporządkowanych treści. Tłumacze bardzo wrażliwi są na nowatorską formę poezji Pietnikowa, poezji wyrastającej ze starosłowiańskich, z mitologii słowiańskiej, z ludowej frazeologii i podobnie jak u Chlebnikowa — słowotwórczego bogactwa. Pietnikow nie jest dla nich poetą zapomnianej epoki i obcego, hermetycznie zamkniętego świata, jak niegdyś oceniano futurizm. J. Spiewak, A. Kamińska, T. Chróścielewski, M.J. Kononowicz, L. Gomolicki, I. Sikirski, W. Woroszyński, S. Pollak, B. Ostromecki, E. Balcerzan, J. Wilmański — wszyscy oni udowodnili, że bliska im jest wewnętrzna obrazowo-skojarzeniowa spójność wierszy Pietnikowa z tomów „Księga Marii — Załgi — Śniega” („Księga Marii Ogniośnieżnej”), „La-torej” i „Porosł słońca” („Różga słońca”).

U Chróścielewskiego widać szczególną staranność i pieczołowitość w tłumaczeniu imion pogańskich mitologii rosyjskiej zasymilowanych przez chrześcijaństwo. To bardzo dobrze, gdyż te imiona-obrazy ujawniają cały system prehistorycznych wierzeń. U Pietnikowa — Maria — Załgi-Śniega to bogini światła walcząca samą na sam z mrozem i śniegiem. Uosabia ona przyście ciepła, tę wczesną porę wiosny na północy, gdy bezbrzeżne i głębokie śniegi zaczynają tać i przy tym tak jaskrawo płoną, że aż oślepiają. Wierzone również, że Maria Ogniośnieżna pozbawia ludzi wzroku, gdyż blask śniegu boleśnie raził w oczy. Podobne imiona-obrazy stanowiły dla tłumaczy trudność nie do pokonania. Nie przypadkowo przekłady na zachodnie języki eliminują złożone imiona słowiańskie mitologii, zamieniając je na imiona bóstw greckich lub skandynawskich, wyjaśniając, że chodzi o bóstwo „rosyjskie”. Wydaje się, że polskim tłumaczom Pietnikowa ułatwiają zadanie wspólne prapoczątki słowiańskich wierzeń i legend, choć z drugiej strony znawców przedmiotu jest niewielu, a historia języka polskiego i rosyjskiego zdążyła zamknąć w nazwach i imionach różne niuanse znaczeniowe wspólnych niegdyś pierwotnych pojęć. Prócz wiedzy potrzebna jest jeszcze duża kultura poetycka, by rosyjską Marię — Załgi-Śniega przeistoczyć w polską Marię Ogniośnieżną. Tłumacz umiejętnie łączy „swoje” i „obce”, polskie i rosyjskie. Staje się to u niego podstawą estetyki przekładów.

Wartość poetycka zbioru wierszy Pietnikowa jest duża, choćby dlatego, że po raz pierwszy polski czytelnik zapozna się z autorem, który przeznaczał swe utwory w jednakowej mierze zarówno dla Rosji, jak i dla Polski, gdyż był synem jednego, a wnukiem drugiego kraju: dziad wujeczny poety to Rafał Krajewski, dyrektor Wydziału Spraw Wewnętrznych Rządu Narodowego w roku 1863—1864. Swoje związki krwi z Polską Pietnikow odczuwał z jakąś głęboką miłością do końca swego życia, choć nigdy nie zabiegał o popularność w kraju swoich znakomitych polskich przodków.

WASYL KOCZNOW

Grigorij N. Pietnikow. Wiersze wybrane. Wybrał, opracował i przedmował Tadeusz Chróścielewski. Wydawnictwo Łódzkie, 1973. Cena zł 24.—



Fot. Archiwum

borze wierszy, jak i ich układzie chronologicznym, a także w całym opracowaniu tomu wraz z posłowiem, które jest niejako monograficzną analizą postaci twórcy i odwołuje się do listów i fotografii zamieszczonych w wyborze. W ten sposób czytelnik ma możliwość prześledzenia ewolucji Pietnikowa, jego odejścia od pierwotnych pozycji literackich. Tom poezji Pietnikowa pozwala prześledzić drogę rozwoju poety radzieckiego, a zarazem jest świadectwem wspaniałego połączenia pracy poety-tłumacza, wydawcy i znawcy.

T. Chróścielewski przedstawia twórczość Pietnikowa nie zapominając ani na chwilę, że obok autora najważniejsza jest dla czytelnika sama poezja.

tłumaczeń. T. Chróścielewski jest zwolennikiem teorii głoszącej wierność przekładu jako nieodzownego warunku poetyckiej wartości tłumaczenia. Wierność ta wyraża się w adekwatności rytmu, rymu, metrum itd. Powoduje to określone ograniczenia w wyborze materiału, gdyż nie wszystko można przetłumaczyć wiernie i adekwatnie. Lecz ograniczenia takie narzuca także kraciowo różna teoria Borysa Pasternaka, który głosił zupełną swobodę tłumaczy, utrzymując, że nie można przełożyć „wielkich rzeczy” bez swobody w zakresie formy dzieła.

Zarówno praktycy, jak i teoretycy przekładu dzielą się z grubsza na wyznawców tych dwóch szkół i nie wiem,

kawczy liryk swojej epoki, choć przez współczesnych mu czytelników znany tylko z jednego tomu wierszy „Wianek”.

Dopiero ostatnie lata okazały się łaskawsze dla ocaleń spuścizny poety. W roku 1968 w Mińsku ukazały się, obejmujące dwa tomy, „Utwory zebrane” Bahdanowicza. Na tym właśnie wydaniu oparł Jan Huszcza, autor cenionej antologii białoruskiej poezji, wybór wierszy Bahdanowicza w przekładach Tadeusza Chróścielewskiego, Jana Koprowskiego, Wiktora Woroszyńskiego oraz własnych.

Choć urodzony w Mińsku Maksim Bahdanowicz wychowywał się poza środowiskiem białoruskim, toteż wiele trudu musiał włożyć w opanowanie ojczystego języka. „W jego białoruskiej mowie, szczególnie w początkowym okresie, rzeczywiście dużo było rusycyzmów — stwierdza Michał Stralcow, którego cytuję tu za Janem Huszczą, autorem interesującego i obszernego wstępu do „Poezji wybranych”. — Zrozumiałe są przyczyny subiektywne, ale nie wolno zapominać i o tym, że białoruski język literacki wówczas dopiero się formował, nie miał jeszcze trwałych, ustalonych leksykalnych, stylistycznych i gramatycznych norm...”

Z tym większym uznaniem musimy spojrzeć na wysiłki Bahdanowicza, który miał ambicję wprowadzenia swej ojczystej literatury do światowego dorobku piśmienniczego. Nie dziwnego, że zajmując się także pracami teoretycznymi i wiele uwagi poświęca twórczości przekładowej tłumacząc na białoruski poetów rzymskich, niemieckich, francuskich. Ślady tych lektur i prac translatorskich dostrzeżemy nie tylko poprzez obcojęzyczne motto, którym często poprzedzone są wiersze Bahdanowicza, ale także w zapożyczonych z modernizmu francuskiego fraz poetyckiej, której melodie dobrze oddają także polskie tłumaczenia. Szczególnie czysto zabrzmiał w przekładach Huszczy aleksandryn choćby w takim fragmencie:

Dzień wtedy był letni, pracowita pora,
Gdy szedłem przez wioskę. Jak gromada
Wzdłuż krzywej uliczki stały niskie
Szare, murzejące; widniały jak łaty
Ślepowe okienka w zapadniętych ścianach,
Strzechy były czarne, choć każda słomiana.

(Na wsi)

Mimo pokrewieństwa językowego Bahdanowicz nie jest poetą łatwym do tłumaczenia, gdyż obok liryki chętnie uprawia także epikę, co wymagało od translatorów częstego przestrajania instrumentów. Nie ulega wątpliwości, że sprostał swojemu zadaniu i otrzymałmy wartościowy wybór wierszy. Tom tym cenniejszy, że dzięki niemu odrabiamy nieco zaległości w poznaniu białoruskiej poezji, która po wojnie, poza wspomnianą przeze mnie antologią Huszczy, reprezentowana jest zaledwie wyborami wierszy Maksima Tanki i Janki Kupaly.

Wydawnictwo Łódzkie, które patronuje książce i Janowi Huszczą, autorowi wyboru wierszy Bahdanowicza można pogratulować pięknej inicjatywy systematycznego prezentowania białoruskiej poezji.

KONRAD FREJDLICH

Maksim Bahdanowicz „Poezje wybrane”, wybór, wstęp i przypisy Jana Huszczy. Wydawnictwo Łódzkie 1973, cena zł 21.—

BAHDANOWICZA „POEZJE WYBRANE”

Choćby związki kultury polskiej i białoruskiej posiadały wielowiekową tradycję znajomości literatury pokrewnionego z nami sąsiada jest u nas wciąż niedostateczna. A są to przecież związki posiadające mocne podstawy i w bogatej historii wzajemnych stosunków kulturalnych nierzadko natrafiamy na momenty obopólnej fascynacji. Dość przypomnieć, że to właśnie polski etnograf Michał Fedorowski opublikował w Krakowie fundamentalne dzieło „Lud białoruski”, zaś Janka Kupala, uznawany powszechnie za białoruskiego poetę narodowego pierwsze swoje wiersze pisał w języku polskim.

A przecież przykładów wzajemnego, uważnego zainteresowania można by podać znacznie więcej. To w kręgu polskiej kultury działało czasopismo „Nowa Niwa”, które odegrało ogromną rolę w kształtowaniu białoruskiej świadomości narodowej i położyło fundamenty pod rozwój własnej już literatury. Wśród redaktorów tego czasopisma spotkamy także nazwisko Kupaly, wśród współpracowników zaś pisarzy, których rolę w dziejach białoruskiej literatury trudno byłoby przecenić. Jednym z nich był Maksim Bahdanowicz (1891—1917), bez wątpienia najcie-

Oto dotarła do moich rąk wydana na powielaczu publikacja, opatrzona tytułem: „Konferencja Naukowa poświęcona 500 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika”, ogłoszona w zeszłym 1973 r. w Łodzi pod auspicjami aż trzech mecenasów: WOJSKOWEJ AKADEMII MEDYCZNEJ, AKADEMII MEDYCZNEJ i ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORII MEDYCYN. Wiadomo od dawna, że Łódź nie jest ośrodkiem, w którym uprawiane są szczególnie intensywne badania kopernikańskie. Prym wiodą dziś w nich środowiska naukowe Torunia, Warszawy i Krakowa i nie właściwie nie wskazywało na to, by jubileuszowe obchody, które odbywały się w naszym mieście, miały przynieść coś więcej ponad rezultaty o charakterze przede wszystkim popularystycznym. Tymczasem... I tu zaskoczenie: materiały okazjonalnej sesji naukowej, która odbyła się 16 lutego zeszłego roku, ogłoszone teraz w druku, okazują się czymś znacznie wykraczającym poza li tylko popularyzację nauki i chociaż daleko im, rzecz oczywista, do Birkenmajerów (Ludwika i Aleksandra) — dwóch najwybitniejszych naszych kopernikologów, którzy dziełu wielkiego astronoma poświęcili całe swe życie, są publikacją godną uwagi, rozszerzającą horyzont naszej wiedzy o dziele i czasach Mikołaja Kopernika.

Być może najwięcej zaważył tu — i najkorzystniej — szczęśliwy pomysł organizatorów, mianowicie zamiar zająć się najmniej znaną stroną aktywności uczonego, przede wszystkim jego działalnością jako lekarza. Takie „ukierunkowanie” sesji okazało się owoce, pozwalając na pozyskanie w charakterze referentów i dyskutantów sporego grona pracujących w Łodzi specjalistów z różnych gałęzi nauk medycznych oraz historii medycyny.

Wokół tedy medycznego „kośca” dało się oplotać również inne zagadnienia o charakterze ogólniejszym, poruszając o problemach kultury polskiego Odrodzenia, kończąc na sprawie stosunku władz kościelnych do teorii heliocentrycznej genialnego myśliciela. Całość publikacji charakteryzuje bezpretensjonalny klimat wypowiedzi autorów, unikających patetycznego akcentowania znaczenia własnych ustaleń, jakich zbyt wiele przyniosła literatura kopernikańska ostatnich czasów.

Niewielki tom, na który złożyły się materiały sesji, zawiera referaty: prof. dr STEFANA KRAKOWSKIEGO z UL o Mikołaju Koperniku na tle kultury polskiej okresu Odrodzenia, dr WACLAWA JARONIEWSKIEGO (AM) o Koperniku jako lekarzu, dr HENRYKA PANKIEWICZA (AM) o jatrochemii jako kierunku lecznictwa w okresie Odrodzenia, doc. dr hab. ZBIGNIEWA KUCHOWICZA (UL) o medycynie domowej w Polsce w czasach Renesansu, oraz plk doc. dr hab. STEFANA WOJTKOWIAKA i plk dr med. TADEUSZA BRZEZIŃSKIEGO o początkach polskiej medycyny wojskowej w Polsce, czasach Odrodzenia (oba autorzy reprezentują WAM). Wśród komunikatów znalazły się prace dr RYSZARDA WOŹNIAKA (WAM) o działalności Mikołaja Kopernika na polu astronomii i geografii oraz dr ALEKSANDRA SWIEZAWSKIEGO (UL) o umieszczeniu dzieła wielkiego uczonego na kościelnym indeksie (z którego zostało ono zdjęte dopiero w... XIX wieku). Publikacja przyniosła też pokłosie dyskusji.

Tom został ogłoszony pod redakcją doc. dr hab. S. WOJTKOWIAKA i mgr T. KLIMASZEWSKIEGO. Godziło się wyliczyć tu nazwiska tych przedstawicieli różnych naukowych specjalności: historyków, lekarzy, farmaceutów, którzy przyczynili się do powstania omawianego tomu. Podczas obrad konferencji czynna była okolicznościowa wystawa kopernikańska, zorganizowana siłami bibliotekarzy WAM i AM.

Materiały łódzkiej konferencji kopernikańskiej od strony zewnętrznej prezentują się skromnie. Wygląd zewnętrzny wydawnictwa w pełni rekomenduje jego bogatą treść. Dlatego tę skromną książkę chciałoby się scharakteryzować jako przykład dobrej roboty naukowej i zarazem popularyzatorskiej i świadectwo, do jakich rezultatów można dojść wtedy, kiedy zamierzy się coś sensownie, bez fałszywego blasku i koncentruje wysiłki w oznaczonym kierunku. Pisalem już kilkakrotnie na tym miejscu, jak wiele śmiecia rodzi się z okazji różnych rocznic, jak często są one po prostu „odfajkowywane”, nieraz przy użyciu znacznych środków, jak liczne są wciąż — niestety — publikacje rozdeptane, przereklamowane, przynoszące znacznie mniej, niż zdają się zapowiadać. O jednej z nich, która ukazała się w serii „Studiów Kopernikańskich” PAN, a więc pod najwyższą naukową firmą, pisałem tu całkiem niedawno. Od tych wszystkich niewydarzonych, choć nieraz pięknie wydanych prac, łódzka publikacja kopernikańska, wydana skromnie na powielaczu, odbija nad wyraz korzystnie: po prostu przynosi na swych kartach więcej, niżby się można było spodziewać.

LEKTOR

Zmierzało. Ciszę lasu zmącił tętent setki kopyt. Zza drzew wypadł oddział konnicy, zakolał na polanie. Prowadzący go książę Stryj zadarł konia. Zatrzymali się. Za konnymi pojawiła się piechota. — Ruszaj! — nakazał Stryj. Jeden z jeźdźców oderwał się od oddziału i sus konia wystarczył, żeby zginął w gęstwinie. Jechał ostrożnie rozglądając się czujnie — bliski ognia między drzewami ka-
zały mu zatrzymać się.

U wylotu mostu stały gęste straża pałac ogniska. Na wyspie za mostem ciemniała bryła grodu. Ale i tam czu-
wano — płomyki pochodni błyskały sę w szczytach białków. Ukryty przed oczami strażnicy patrzył i nie wieział, że także jest obserwowany. Ten drugi ukryty pod koroną drzewa przygotowywał się do skoku w dół. Wreszcie jadąc zawrócił konia. Temu z drzewa to wystarczyło — sie-
dzieli już na koniu obaj. Spłoszone zwierzę poniosło i nie ono, lecz niski konar zwał ich obu na ziemię. Szano-
nieli się szukając nawzajem swoich garści, wreszcie któremś z nich uda-
ło się przysięgnąć drugiego do ziemi, sięgnąć po noz. Osunęło się do ci-
osu i nie opadło w dół, bo... przed nimi w kłębach dymu, tuż obok, na ziemi opadła ciężka bryła pojazdu kosmicznego. Patrząc zapomnieni już o tym co było przed chwilą, tużili się do siebie i drżeli ze strachu.

Kłapa statku uchyliła się, fioletowa poswiała ogarnęła las, czys cien po-
ruszył się we wnętrzu statku. Nie czekał dłużej. Zerwali się z krzykiem pognali przed siebie. Straże podo-
wały się na ich widok. Dowódcę roz-
poznał w pierwszym z krzykaczy swojego. — Przepuścić — nakazał. Ten drugi, zapewne szpieg, został obez-
wianiony, jego krzyk uciszył kawał płotna wepchnięty mu do ust i dziw-
ne było tylko, że sam nadstawiał ręce do związania, a na jego twarzy ry-
sował się wyraz ulgi.

Ten, którego przepuścili wpadł led-
wie żywy na dziedzińiec grodu, prze-
wroczył się w pałac na jego sro-
dku ognisko i stanął w płomieniach. Zewsząd wybiegali wojowie, uciekali
mu z drogi, gdy pędził do studni —
wskoczył do srodka. Rozprysk wody
położył kres jego krzykom.

Książę Bratanek zasiadł obok żu-
rawia, za nim stała drużyna. Tamten
wygramolił się na brzeg cembrowiny,
wypuścił resztkę wody. Bratanek na-
kazał. — Mów! —

Opowiadał — Książę panie mój!
Wiedziałem tak jak teraz widzę ciebie.
On także widział — wyciągnął palec
w stronę bramy. — Prowadzono
związane szpiega. Ten ze studni,
a potem i szpieg przekrzykując się
nawzajem mówili dalej. — Tam w
lesie spadła ognista łódź... — Bra-
tanek, a za nim reszta przysiedli z
wrażenia, czy ze strachu — Ziała
ogniem, huczała. Stamtąd spadła —
wskazali niebo. — Wielka jak twój
dwór panie! Straszna! — jeden wpadł
z powrotem do studni, szpieg objął
kolana Bratanka. — Panie wbił mi
na pal, ale nie odsyłał do lasu do
księcia, twój stryja! Panie! —
Twarz Bratanka zmieniła się straszli-
wie, gdy pomyślał o swoim Stryju.
— Nadszedł czas! — ogłosił. — Dziś
sen, jutro bój! Kaźcie trąbić! — roz-
kazał.

Trąbiono na blankach. Pierwszy i
Drugi obaj całkiem biali słuchali
ważnie. — Ten sygnał jest precyzyj-
nie modulowany — pomyślał Pierw-
szy. — Istotnie! — zrodził się Drugi
i pokręcił głową. — Nie mogę oprzeć
się wrażeniu, że jesteśmy na Ziemi. To
tylko jakiś fatalny błąd w nawigacji,
albo zwarecie w obwodach — odmyś-
lił Pierwшему.

Tak... — myślał Pierwszy dźwi-
nie rozstrzygnięty patrząc na wiotkie
gałęzie brzoźowego lasku targane
przez wiatr. — Wspaniale! — Drugi
też patrzył, oddychając głęboko z lu-
bością. — Nieprawdopodobnie, że to
widzimy — cieszył się Pierwszy. Zie-
mia rozdudniła się nagle. Pierwszy i
Drugi patrzyli w niemym zachwycie.
Stado koni wpędzane do zagrody zda-
wało się płynąć w powietrzu. — Ten
gatunek wymarł u nas wiele tysięcy
lat temu. Pięknie! — Drugi myślał u-
niesienie. — Wybac! — przeprosił
Pierwszego i nim ten zareagował, po-
szedł do najbliższego konia i wskoczył
na grzbiet popielniąc mały błąd —
usiadł tyłem do kierunku jazdy. Prze-
straszony zwierzę wierzgnęło. Drugi
myślał krzyk strachu, Pierwszy
także. Lecz Drugi już był na ziemi.
Z jękiem wstał — wydawało mi się,
że jest to znacznie przyjemniejsze —
przynął się Pierwшему i raptem
szarpnął go w kierunku ziemi. Nad
ich głowami ze świstem przeleciało
kilkanaście oszczepów wyrzucenych
przez wojów przyglądającym się im
od dłuższej chwili.

Sądziś, że w tym czynię zawar-
ty jest akt agresji? — zamyślił Drugi.
— Tak mi się wydaje — odmyślał
Pierwszy.

Wojowie dufni w swą przewagę i
brak oręża w białych, dobyli mieczy i
ruszyli do ataku. — Pora na nas —
westchnął Pierwszy. Drugi bez myśli
zgodził się z nim. Zniknęli. Na to sa-
mo miejsce wbiegli wojowie i zatrzy-
mali się zdezorientowani. Patrzyli po
sobie podejrzliwie i raptem skinęli
jedną myślą, szybko uciekli.

Straże czuwały. Na dziedzińcu cła-
le palił się ogień. Niespokojny sen
zmorzył mieszkańców grodu, bo wier-
cili się na narach w podcieniach pa-
lisady. Biali stali przy ognisku wpa-
trując się w płomień i sprawiali im
to przyjemność — Piękna, ale i dziw-

na forma uwalniania energii — po-
myślał Pierwszy.

Zakodujemy dane. Może i u nas
po powrocie uda się coś takiego urzą-
dzić — Drugi był gotów do działania.

Masz ochotę wracać? — nieśmia-
ło myślał Pierwszy. Drugi był szcze-
ry — Nie! To piękna planeta. Ży-
wa! —

Jakiś odgłos w którym była kłliwa
melodia kazał się im odwrócić od
ognia i zajrzeć do jednej z chat na
dziedzińcu. W jej wnętrzu naga para
oddawała się pieszczotom. Pomyśleli
śmiesz — W tej dziedzinie nie się nie
zmieniło do dzisiaj — Drugi śmiał się
cały czas. To pocieszające! — Pierw-
szy jeszcze raz chciał zajrzeć do sro-
dka. Skarcony niemo przez Drugiego
zawstydił się i już tego nie zrobił. Za-
ch ich plecami powstał tumult. Stra-
że zbili się w gromadę i gdy biali zrobi-
li krok w ich stronę, rozbiegali się z
krzykiem. — Zda się, że znowu ich
niepokojmy — pomyślał markotnie
Pierwszy. — Czas na nas! — westch-
nął Drugi i popatrzył na przyrząd
przymocowany do kombinizonu —
Oni chyba umieją programować pogo-
dę. Jutro będzie piękny wschód słoń-
ca. Czas! — spojrzeli na Pierwszego
i zniknęli.

Bratanek z nagim mieczem krążył po
dziedzińcu, za nim zbite w kłb wojs-
ko. — Strach toczy wasze trzewia.
Nikogo tu nie ma! Zły to omen przed
jutrem! Zły! — i raptem krzyknął
przejmująco. Jego ukochany koń trą-

cił go w plecy. Nagle słaby usiadł na
ziemi. Wojsko naśladowało go.

Tarcza słońca wytoczyła się z nad-
lasu. Przy moście panował spokój. Do-
wódcę strażnicy patrzył na las i jeszcze
raz stwierdził, że panuje w nim spo-
kój. I gdy zawołano go, pierwszy rząd
krzewów przesunął się w stronę mo-
stu. Droga zbliżał się wóz taborowy.
Woznica spał chwilejąc się na koźle.
Straże patrzyły zaciekawione. Las za
ich plecami znowu przesunął się do
przodu. Dowódcę potrząsnął ramie-
niem woźnicy. I była to w ogóle ostat-
nia rzecz jaką zrobił. Przebity mie-
czem padł na ziemię. Krzewy za plec-
ami wojów rozchwały się, zza nich
wylonili się postacie biegnące pie-
choty. Wojska przeciwnych stron star-
ły się z krzykiem. Pierwszy z Drugim
stali nad brzegiem jeziora niedaleko
mostu, na którym toczył się bój. Od
dłuższej chwili pochylali się nad wo-
dą. Drobną falą poruszała lilie wod-
ne. — Czy myślisz o tym samym? —
Drugi przyglądał się Pierwшему. —
Taki — przyznał się Pierwszy —
Ostatni egzemplarz tej rośliny zginął
u nas tuż przed naszym odlotem. Vi-
deoforma całego świata ogłosiła żalo-
bę — Pierwszy delikatnie, z pietyz-
mem dotknął płatków rośliny.

Muszą mieć doskonałą techno-
logię, skoro potrafia prowadzić ho-
dowlę w naturalnych warunkach —
Drugi kręcił z podziwem głową —
Czysta woda, czyste powietrze. My zu-
żywamy na to połowę zasobów ener-
getycznych Ziemi! —

Coś zakotłowało się obok nich. Pieszy
woj wskoczył do wody niszcząc kwia-
ty — chwycił się lodu by jak naj-
szybciej znaleźć się na głębokiej wod-
zie. Za nim wpadł napastnik z nożem
w zębach i goniąc uciekającego, też
rwał lodu.

Oburzające! — zachnął się Pier-
wszy.

Skażalbym ich na dziesięć lat hi-
bernacji — Drugi podzielał zdanie
Pierwszego. Patrzyli w kierunku mo-
stu. — Czemu oni oddają się z takim
zapalem? — zastanawiał się Pierwszy.
Na moście toczyła się walka. Przebi-
ano brzuchy przy pomocy oszczepów,
miażdżono czaszki kamieniami z proc,
ostrza mieczy i toporów cięły piersi,
kończyny, karki, duszono przy pomo-
cy arkanów, zabijano młotami. no-
żami. I coraz bardziej było widać, że
ci z lasu są góra.

Nasz analizator doszedł do sed-
na tego zjawiska. Wiele tysięcy lat te-
mu prymitywne społeczności popada-
ły ciągle w konflikty, a szczególnie ich
drastyczna forma nazywana była woj-
ną. I to chyba to! — wyjaśnił Drugi.
Pierwszy uniósł palec do góry — To

też może być interesujące. Przegrwi-
tujemy! — zaproponował. Drugi zgo-
dził się. Zniknęli.

Na moście było już po wszystkich.
Na znak Stryja wojska uformowały
się w kolumnę i podażyły mostem w
kierunku grodu, nad którym stały dy-
my sygnałów.

Biali pojawili się na moście. Wokół
leżały zwaly trupów. Byli wstrząśnię-
ci — To straszne! Ja nie mogę! —
Pierwszy ślaniał się na nogach — Dla-
czego nie domyśliłeś, że finalem tego
zjawiska...

Wojny — pomógł mu Drugi, roz-
glądając się ze zgrozą.

Właśnie wojny — Pierwszy był
wzburzony — Jest biologiczna zagła-
da? Dlaczego? — myślał krzyk.

Ten kretyn analizator nie o tym
nie informował — usprawiedliwiał się
Drugi, równie przerażony tym co
ogładał.

Musimy ingerować, nawet
wbrew regulaminowi — Pierwszy był
zdecydowany. — Przynajmniej spró-
bujmy — równie stanowczo i zgodnie
odmýł Drugi. Zniknęli z mostu.

Wojska napastników zatrzymały się
na podgrodziu w bezpiecznej odleg-
łości od murów, na których było ro-
jno. Kopyta pochodnie, trzymano w
pogotowiu kamienie, oszczepy.

W kotłach wrzała smoła.

Napastnicy szczykowali taran.

Na blankach ukazał się Bratanek. W
dole na czoło oddziałów wyjechał
Stryj.

Dlaczego przybyłeś Stryju z orę-

osłaniając się tarczami! dzwigała w
stronę bramy taran. Pierwszy z Dru-
gim patrzyli na zbliżających się wo-
jów, na dogasające zgłiszcz. — Zno-
wu? — zastanawiał się Drugi.

Pierwszy wzruszył ramionami.

Na blankach rosło napięcie — wi-
dzieli nacierającą piechotę i sami szy-
kowali się do odparcia ataku. Zarów-
no jedni jak i drudzy wiedzieli, że
pod bramą stoją biali oglądając spie-
trzenie bramy, potężne bierwiona wa-
łów, ciężkie bale palisady. I że strzegą
ich przed złymi zamiarami wszystkich
bąble pola siłowego. — Bardzo bym
chciał poznać konstrukcję narzędzi,
która posłużyła do wzniesienia tej bu-
dowli — Drugi był pełen uznania dla
nieznanych budowniczych. Pierwszy
nie pomyślał w odpowiedzi nic, na
nowo zafascynowany gałęziami brzo-
zowego lasku potrząsnął przez
wiatr. Wojska napastników były już
niedaleko bramy i raptem zatrzyma-
ły się. Trwało zmaganie z czymś nie-
widocznym, a potem odrzucone w tył
cofnęły się. Stryj rozejrzał się trwo-
żliwie — Bóstwa są z nami! — krzy-
knął Bratanek i dał znak.

Oszczepy, głązy, smoła poleciały z
blanków w dół i z powrotem powróci-
ły do rąk z których zostały wyrzu-
cone. Bratanek pobladł, a odwaga
wróciła do serca Stryja — Z nami są!
— krzyknął radośnie — Dalej mężni,
na nich! — Ruszyli z taranem do
przodu, cisnęli oszczepy... z góry spadł
grad kamieni, włóczni. I... stało się to
samo — ci na dole odbili się od niewi-

na podgrodzie. Osamotniony Stryj sle-
dził na ziemi. Wielki pionowy wy-
buch startu statku kosmicznego za-
decydował. Widzieli go wszyscy.
Bratanek krzyknął łamiącym się
głosem — Stryju! —

Siucham cię bratanuku! — Stryj
wstał pełen nadziei.

Bóstwa dają znak stryju! —

Daj bratanuku! —

Skoro... Skoro nie możemy walczyć... Pogódźmy się! — Bratanek pra-
wie płakał.

Madrość mówi przez ciebie bra-
tanuku! Ty będziesz królem! — pla-
kał nie kryjąc tego Stryj.

Przebaczam ci stryju! — Brata-
nek otarł oczy i wpadł do wnętrza
blanków. Stryj popędził do bramy,
chwile zawałał się, ale nie go nie
odrzuć w tył. Odrzwią grodu roz-
warły się. Za nimi stał Bratanek.
Zbliżyli się wolno do siebie pełni na
nowo skrywanej nieufności, napięcia
i... padli w objęcia. Wojowie obu prze-
ciwnych stron poszli w ich ślady. Roz-
począł się dziwny kolebany taniec.
Pojednanie było ogólne. Głos z mega-
fonu głośno zakomenderował —
STOP! — Stryj i Bratanek wypuścili
się z objęć. Stryj zdjął z głowy siwą
perukę — No jak było? — zapytał.

Przy kamerze trwała narada, wresz-
cie reżyser powiedział — Było nieźle,
Na dzisiaj starczy! —

Czy mam przez to rozumieć, że
to koniec zdjęć? — wrzeszczał mały
pękaty kierownik zdjęć.

Koniec! — odskrzyknął reżyser.
Pomost z kamerą zjechał na poziom
ziemi. Gasły reflektory. Statystki w
biegu zdejmowali kostiumy, jeden za
drugim zajeżdżały samochody. Na któ-
ryś z nich ładowano manekin człowie-
ka naszpikowany oszczepami, rekwi-
zytorzy szarpali za drzewa — Tak
powbijane, że nikt nie powyjmiesz!
— sapali.

Reżyser szedł ze Stryjem i Brata-
kiem w stronę oczekującej nyski. Za
ich plecami statek kosmiczny kur-
czył się coraz bardziej, aż stał się le-
żącą na ziemi smatą. Podbiegli do
nich zlatający rekwizytor — Panie
reżyserze, czy jutro będzie pan po-
trzebowal to kosmiczne cudo? —

Będę! — skinął głową reżyser.

Panowie! Tutaj go zostawimy ra-
zem z kompresorem! — krzyczał rek-
wizytor do ludzi przy statku.

Pierwszy, Drugi, Stryj, Bratanek,
reżyser jechali nyską przez las. W sa-
mochodzie panowała cisza — wszyscy
byli zmęczeni. Pierwsze krople desz-
czu padły na szyby. Kierowca włą-
czył wycieraczkę. Błysnęło oślepiająco.
Zagrzmiało. Wydawało się, że gdzieś
obok drogi jakiś kształt runął na
ziemię. — Niech pan się na chwilę za-
trzyma — poprosił kierowcę ten, który
grał Stryja.

Nyska zatrzymała się.

Patrzył przez tylną szybę. Deszcz
mącił obraz. Śmiało się za jego plec-
ami — Przepraszam — wybąkał,
Nyska ruszyła.

Może wyładował pojazd kosmicz-
ny? — obłudnie poważnie zapytał ten,
który grał Bratanka. Wszyscy roze-
miali się głośno, nagle wrócił dobry
humor.

Nyska odjechała. Deszcz rozpadał
się na dobre.

W lesie na małym polanie, spowity
w dymy, kołysał się dysk dziwnego i
wielkiego pojazdu. Otworzył się luk.
Żywy niesgrabny kształt zsunął się z
wnętrza na ziemię i wijąc się wśród
traw i krzewów zniknął w lesie.

WOJCIECH JERZY WÓJCİK

LĄDOWANIE

żem pod mój gród? — wołał Brata-
nek.

Obsadziłeś gród bez mojego po-
zwolenia. I panujesz teraz w nim! —
Stryj pinił się ze złości.

Obsadziłem go, żeby uniknąć
swarów! — krzyczał Bratanek.

Otwórz bramę i ukor się! Taka
była wola twojego ojca! Tylko wtedy
unikniemy swarów! — darł się Stryj.

Ja jestem synem swego ojca!
Wejść jeżeli potrafisz! — Bratanek
potrząsnął mieczem. Wojowie na mu-
rach poszli w jego ślady, a Stryj gro-
ził — Dam ci czas do namysłu! Pod-
palę osady służebne, a ty! Ty pa-
trząc na grozę niszczyciel poszukaj
odpowiedzi w swoim sercu! Albo przy-
stan na warunki! —

Stryju jesteś łotrem. Ale ci po-
wiem! Nie!

Chciałeś bratanuku! Stryj podniósł
rękę. Na ten znak ciekano. Wojowie
rozbiegli się po podgrodziu okładając
chaty wiązkami trzciny, następni już
biegli z żagwiami. Strzechy zaczęły
się lil.

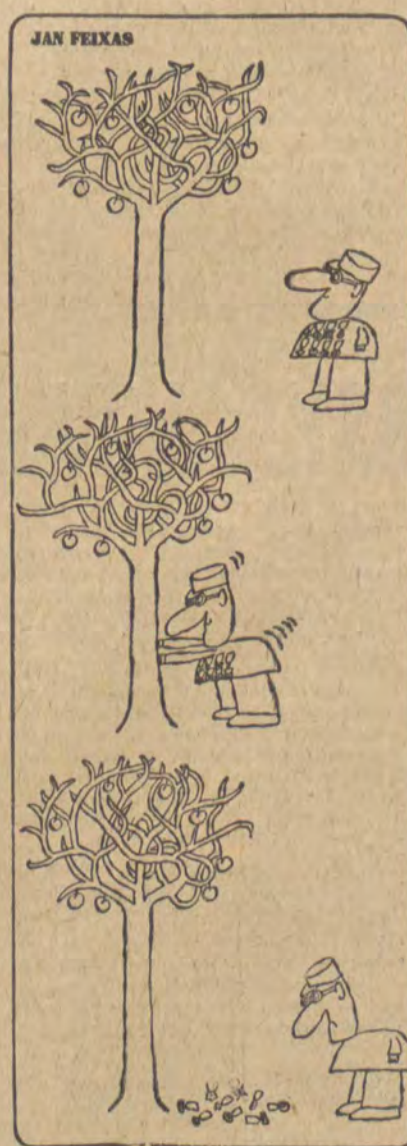
Pierwszy z Drugim stali w fosie o-
taczającej gród gdzieś z boku, przy-
glądając się wszystkiemu. — Zaprze-
stali śmierci! — ucieszył się nie bez
ulgi Drugi. — Obedzie się bez naszej
interwencji! — myślał z równą rado-
cią Pierwszy — Co zakodujemy w ra-
porcie? —

Wielki rozwój wszystkich form
życia, prymitywna cywilizacja o po-
ziomie pedu rzędu zero. — Drugi u-
siadł na dziwnym rusztowaniu prze-
suwając przypadkowo jakąś dzwignię.
Spod niego trysnął snop iskier, ukazał
się lekki dymek. Drugi pomyślał
głośny krzyk i zaczął się — fajer-
werki rwały się z rusztowania mło-
tając ognie, fontanny kolorowych dy-
mów. Pierwszy z Drugim szarpali się
w dziesiątkach uników, wreszcie przy-
padli do ziemi, a nad nimi trwało pie-
kło.

Pierwszy śmiał się — Poziom pedu
rzędu zero, a znając energię elektrycz-
ną i broń rakietową.

Drugi stękając ogładał osmolony tył
kombinizonu. — Mam dosyć tych nie-
spodzianek. Włączmy pola siłowe! —

Pierwszy zgodził się. Przekreślił
kontakty w kombinizonach. Zniknęli
i pojawili się pod bramą grodu. Chaty
podgrodzia stały w ogniu. — Chciałeś
tego bratanuku! — okrutnie śmiał się
Stryj. — Stryju! Jesteś nie tylko łot-
rem, ale i podpalaczem! — Bratanek
miał się po blankach — Zginiesz
Stryju! Gaszono pożary, potoki plany,
kaski strażaków, a może wszystkim
tak się tylko wydawało, bo wojowie
znowu zgromadzili się pod murami z
bronią gotową do walki, jedna z grup



DLACZEGO KRYZYS ENERGETYCZNY OMIJA ZSRR

Wielu ludzi zadaje sobie pytanie: Dlaczego kryzys energetyczny dotknął wyłącznie rozwinięte kraje kapitalistyczne? Dlaczego kraje socjalistyczne, a przede wszystkim Związek Radziecki, uniknęły kryzysu i nie przestają odgrywać coraz większej roli na światowym rynku energetycznym, opierając się wyłącznie na własnych bogatych zasobach oraz produkcji technicznej, którymi kierują z perfekcją?

ZSRR wykorzystuje wszystkie swoje tradycyjne źródła energii. Według ostatnich danych, dysponuje on 62% światowych zasobów paliwowych w przeliczeniu na paliwo konwencjonalne. Ważną rolę odgrywa fakt, że Związek Radziecki zwraca baczna uwagę na utrzymanie swego energetycznego bilansu. Wydobycie węgla, mimo względnego spadku jego cen, stopniowo wzrasta i powinno w latach 1975-1980 zabezpieczyć dużą część energetycznego zapotrzebowania ZSRR. W 1975 roku wydobędzie się w Związku Radzieckim 400 milionów ton, a w 1980 roku — około 800 milionów ton węgla.

Jeśli chodzi o naftę, to, zgodnie z planem, w roku 1975 jej wydobycie wyniesie 490 milionów ton. Znaczna część tej ilości dla Syberii. Związek Radziecki rozporządza nieprzebranymi zasobami gazu ziemnego: jego produkcja powinna wynieść 300 do 320 miliardów m sześciu, w 1975 roku i 620 do 650 miliardów m sześciu, w 1980 r.

Liczy też wskazują, że radzieckie organa planowania przewidują niestanny rozwój przeróżnych źródeł energii. Dla każdego z nich nakreślono stały, długoterminowy poziom wzrostu. Jest to przeciwnieństwem nierównomiernych, skokowych wahan, uwarunkowanych w krajach kapitalistycznych przypadkowym przyrzpływem i odpływem kapitału.

Wzrastające, racjonalne użytkowanie paliw kopalnianych w ZSRR wymaga budowy nowych rurociągów, wielkiej ilości nowych urządzeń. W związku z tym Związek Radziecki zwraca się do krajów zachodnich, ale — wbrew twierdzeniom burżuazyjnych „specjalistów” — nie z wezwaniem o pomoc. ZSRR proponuje transakcje korzystne dla obu stron. Szybki odczew na te atrakcyjne propozycje: Stanów Zjednoczonych, Japonii oraz krajów Wspólnego Rynku, a także rosnąca wśród nich ostra konkurencja, świadczy, że nie chodzi tu bynajmniej o jakąś pomoc, lecz o operację handlową, ocenianą w krajach Zachodu jako bardzo korzystną. Pociągą je nowy rynek zbytu, możliwość pełniejszego zaspokojenia własnych potrzeb w zakresie energetyki. Ostatnio porozumienia w sprawie dostaw gazu ziemnego zawarły z ZSRR — USA i Niemiecka Republika Federalna.

Należy podkreślić, iż poszukiwania nowych źródeł energii zajmują w ZSRR widoczną pozycję: w czerwcu 1972 roku w Związku Radzieckim oddano do eksploatacji reaktor jądrowy, który dotąd nie ma sobie równego w świecie pod względem mocy. Reaktor, o chłodzącej wodzie, dysponujący mocą 440 tysięcy kilowatów, przeznaczony dla potrzeb całej serii budowanych obecnie elektrowni jądrowych.

W 1975 roku postanowiono wybudować w Związku Radzieckim szereg jeszcze potężniejszych elektrowni jądrowych, bo o mocy miliona kilowatów, produkujących stosunkowo tanie energię elektryczną. Pierwsza elektrownia tego typu buduje się już w Leningradzie. ZSRR zaopatruje we wzbogacony uran Francję i NRF. Ostatnio także USA przejawiają zainteresowanie radzieckim uranem.

Związek Radziecki zajmuje pierwsze miejsce wśród krajów prowadzących badania w dziedzinie magneto-hydrodynamiki, najbardziej obiecującej i perspektywicznej metody otrzymywania energii elektrycznej. Stany Zjednoczone zawarły już porozumienie z ZSRR w sprawie wspólnego rozwiązania tego problemu. Jeśli chodzi o kontrolowaną reakcję termojądrową, to obecnie tylko Związek Radziecki może wybudować aparat typu „TOKOMAC”, pozwalający na dokonanie reakcji syntezy jąder w warunkach laboratoryjnych.

Nigdy jeszcze od momentu zakończenia II wojny światowej Waszyngton nie dążył w takim stopniu do identyfikacji interesów Zachodu z interesami Stanów Zjednoczonych, jak teraz.

Niedawno, bo we wrześniu ub. roku, USA mówiły o intencjach „wypełnienia nową treścią swych stosunków z Europą i Japonią”. Co więcej, Amerykanie podkreślali swoje dążenie do „nadania Europie pierwszoplanowego znaczenia”.

Ale już w miesiąc później, w październiku 1973 roku, podczas wojny na Bliskim Wschodzie i po jej zakończeniu, rząd Stanów Zjednoczonych wstrzymał się od konsultacji (a nawet informowania) ze swymi europejskimi „sojusznikami” oraz Japonią. A w listopadzie ub. roku, więc znowu miesiąc później, Waszyngton wyraził swoje „ubolewanie” rządowi japońskiemu, który podjął decyzję zrewidowania swych stosunków z Izraelem. Nawiasem mówiąc, w lutym br., rząd USA — jak informuje „International Herald Tribune” — przestrzegł swego japońskiego sojusznika przed próbami rozszerzenia eksportu na rynek amerykański, przekreślając w ten sposób nadzieje Japończyków na zdobycie dolarów, niezbędnych do opłacenia importu bliskowschodniej nafty. Ale to tylko mimochodem.

Słowa aż tak dalece mijają się z czynami, nie ma potrzeby przeprowadzania wywodu, że publiczne oświadczenia USA kryły w sobie złe zamiary. Ale pomijając już nawet to, były one nierealistyczne.

Bardzo nierealistyczne jest identyfikowanie interesów europejskich z interesami USA. Taka mieszanka może tylko wmanewrować w najcięższe tarapaty te kraje, które by w następstwie braku ostrożności i przewidywania, małoduszności i bojaźni przed odwetem zboczyły wraz z nimi z obranej drogi i zdążyły na amerykańskiego partnera Tym bardziej, iż w amerykańskiej dyplomacji zarysowuje się nieprzerwana linia podporządkowania partnerów woli USA. A to sprzyja rozkładowi sojuszu.

Decyzja krajów arabskich o zmniejszeniu wydobycia nafty nie jest czymś wyjątkowym. Stany Zjednoczone przez 25 lat odmawiały udostępnienia swojej technologii krajom komunistycznym, starając się je osłabić i w ciągu 15 lat odrzucając wszelkie sugestie handlu z Kuba.

WASZYNGTONSKA DYSKUSJA

TRZYNASTU NIE TYLKO O NAFCIE...

Wstrząsy, jakim podlega gospodarka świata kapitalistycznego w wyniku kryzysu surowcowo-paliwowego, mogą przynieść głębokie następstwa polityczne. Z trudem montowane usamodzielnienie się zachodniej Europy od Stanów Zjednoczonych chwile się w posadach. Szczeliny, jakie występują między zachodnioeuropejskimi partnerami Stanów Zjednoczonych, są przez nie sprytnie wykorzystywane. Marzenia o „trzecim mocarstwie” i wyeliminowaniu amerykańskiej hegemonii odleglejsze są dzisiaj niż przed dwoma laty. Szansa, wynikająca z kłopotów USA, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, nie została należycie wygrana.

Do wszystkich tych wniosków można dojść na podstawie waszyngtońskiej konferencji 13 państw — konsumentów ropy naftowej, która przez trzy dni toczyła się w stolicy USA.

Jej przebieg był dość dramatyczny. Już wydawało się, że konferencja nie będzie miała swojego pomyslnego finału. Ale stało się inaczej. Waszyngtonowi udało się podporządkować 11 z państw — tylko Francja nie podpisała kilku paragrafów wspólnego komunikatu. Po prostu nie zgodziła się ona na niektóre formy instytucjonalizacji współpracy. Podstawowa rozbieżność dotyczy

W czasie kryzysu sueskiego w 1956 roku Amerykanie sprzedawali na rynkach walutowych funty szterlingi, żeby, zagrażając funtowi, zmusić Anglię do ustępstw. Oni to przeszkadzali Kanadzie w wykonaniu zobowiązań o sprzedaży Francji uranu. Przykładów używania broni ekonomicznej do osiągnięcia celów politycznych można by podać mnóstwo. Ewentualne kroki odwetowe w odpowiedzi na decyzję krajów arabskich, opracował Departament Stanu w kwietniu 1973 roku, to jest na cztery miesiące przed groźbą

Europy z interesami krajów — producentów nafty.

Mówi się, że Zachodnia Europa jest bardziej wystawiona na ciosy niż Stany Zjednoczone, ponieważ jest więcej uzależniona od importu nafty niż USA. Właśnie dlatego Europa i Japonia odrzuciły, już w maju ub. roku, propozycję USA o utworzeniu jednolitego frontu, który by się przeciwstawił podwyżce cen nafty. Jest oczywiście, że Europa i Stany Zjednoczone nie są zainteresowane w prowadzeniu jednakowej polityki w odniesieniu do

Arabii Saudyjskiej o użyciu „broni naftowej”. Obejmowały one:

◆ „pełne zablokowanie arabskich wkladów bankowych”, jeżeli USA mogłyby liczyć „na solidarność Europejczyków i Japończyków”. Takie założenia są dziś oczywiście wykluczone;

◆ „efektywna blokada podstawowych dostaw do krajów arabskich z krajów komunistycznych”. Praktycznie rzecz biorąc — coś zbliżonego do wojennego embargo;

◆ „próba przerwania bojkotu naftowego środkami militarnymi, to jest za pośrednictwem wojny”...

Wcale ładnie. Rzecz jasna, iż wymienione „środki” przyniosłyby Zachodniej Europie niepowetowane szkody. Na odpowiedź krajów arabskich nie trzeba było długo czekać. Minister gospodarki naftowej i bogactw mineralnych Arabii Saudyjskiej, Jamani, złożył oświadczenie, że kraje arabskie „mogłyby zredukować swoje wydobycie nafty o 80 procent” i że jeśli USA uciekną się do przemocy wojkowej, Arabia Saudyjska bez wahania wysadzi w powietrze „żyłotnie ważne rejon” przemysłu naftowego.

Jak widać amerykańskie naftowe „grupy nacisku”, działające w określonym interesie, i zresztą nie tylko amerykańskie — Eisenhower nazwał je swego czasu „wojskowo-przemysłowym kompleksem” — dobrze strzegą swoich inwestycji i materialnych interesów na Bliskim Wschodzie. Brak tu jakiegokolwiek identyfikacji interesów Zachodniej Europy i amerykańskich kompanii. Wprost przeciwnie — istnieje oczywista zbieżność interesów

cen na naftę, co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze — ich stopień zależności od importu nie jest bynajmniej jednakowy; po drugie — wielkie kompanie naftowe są kompaniami amerykańskimi. One zgarniają zyski zarówno kosztem producentów (arabskich lub innych) jak i kosztem europejskich i japońskich konsumentów.

Głównym celem uderzenia krajów arabskich są USA i amerykańskie kompanie naftowe, których polityka na Bliskim Wschodzie jest dobrze znana. Kryzys naftowy pokoi kres jednolitości atlantyckiej, jeżeli Stany Zjednoczone — dzięki własnym zasobom — będą nadal miały naftę, podczas gdy przemysł Zachodniej Europy zostanie sparaliżowany. Jak wiadomo Waszyngton nie zaproponował w tym wypadku jakiegos „równomiernego rozłożenia ciężaru” kryzysu energetycznego. Gdzie jest ta atlantycka solidarność?...

Granice tej solidarności widać zresztą nie tylko w problemie energetycznym. Są one również wyraźnie widoczne w polityce rolnej. Machinacje USA z zasobami artykułów żywnościowych, głównie soi, której dostawy do Zachodniej Europy i Japonii znacznie obcięto, być może, są i konieczne dla Stanów Zjednoczonych. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w ten sposób wymierzają one karę swoim niekierownikom „partnerom”; USA przypominają im w ten sposób o ich zależności od Amerykanów.

Granice te są jeszcze bardziej widoczne w dziedzinie walutowej. Jeśli międzynarodowy system walutowy (taki, który by się podobał Ameryka-

nom) ma zostać przebudowany na podstawie, jak wyraził się niedawno Giscard d'Estaing, konwersyjności dolara (zmiany warunków pożyczkowych — red.), ograniczonej operacjami między bankami państwowymi, to należy to rozumieć w takim sensie, że miliardy dolarów, których kurs jest dziś chwiejny, nie ulegną konwersji. A to byłby już bajeczny podarunek złożony przez Europę Zachodnią i Japonię najbogatszym krajom świata. Podarunek tak kosztowny, że w porównaniu z nim „Plan Marshalla” wydałby

się jeszcze skromniutką jałmużną.

Krótko mówiąc, Zachodnią Europę przywołuje się do porządku i każe się jej płacić za wszystkie pozycje: za kompanie naftowe, za producentów rolnych, za inwestycje zagraniczne, prowadzące do gromadzenia eurodolarów, za utrzymanie amerykańskich wojsk w Europie... A w ślad za tym do systematycznego stawiania Europy i Japonii przed faktami dokonany: na Bliskim Wschodzie, w związku ze sprzedawaniem produktów rolnych, w związku z odmową zmiany warunków pożyczek dolarowych itd.

Takie fakty powinny nauczyć Europejczyków większego rozsądku.

Kryzys energetyczny ujawnił z całą ostrością antagonizm sprzeczności interesów USA i Zachodniej Europy. Warto na zakończenie przytoczyć znaną opinię na ten temat znanego francuskiego publicysty politycznego z „Le Monde Diplomatique”, Claude Julien:

„To dobrze, że w wielu kwestiach pozycja USA jest tak egocentryczna, ponieważ tylko podobne ekscesy i podobne skrajności mogą przekonać Zachodnią Europę o konieczności podejmowania decyzji, które pozwolą się jej otrząsnąć z przemocy dominującego mocarstwa.”

I dalej:

„Kryzys bliskowschodni spowodował przynajmniej to jedno pozytywne następstwo, że zwiększył napięcie amerykańsko-zachodnioeuropejskie.”

JERZY CZECH

brak jeszcze elementów do jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Wiemy natomiast, że w czasie obrad wielkiej czwórki arabskiej w Algierze, jej prezydent, poparty przez Syrię, domagał się od Arabii Saudyjskiej i Egiptu, aby utrzymały embargo na dostawy ropy aż do całkowitego opuszczenia terenów arabskich przez Izrael. Jeśli Arabia Saudyjska zastosuje się do tego apelu — podobnie postąpi na pewno sprzymierzony z nią Kuwejt. Te zaś dwa państwa rozporządzają największymi zasobami ropy naftowej. Nie uprzedzamy jednak faktów... Ujawnia się one z pewnością wkrótce — w toku przygotowań głównych konsumentów ropy do ich spotkania z producentami, co właśnie uzgodniono w Waszyngtonie. Kraje arabskie, jak się wydaje, nie będą się sprzeciwiały takiemu spotkaniu, pod warunkiem, że będzie to „dialog na stopie równości” z wyłączeniem wszelkiej kontroli cen nafty przez kraje uprzemysłowione. (Taką opinię jako pierwszy wypowiedział algierski minister ds. przemysłu i energetyki, dodając, że rozmowy powinny objąć nie tylko problem nafty, ale także innych surowców oraz produktów przemysłowych i rolnych, co wspólnie brzmi z inicjatywą grupy krajów niezaangażowanych zwołania nadzwyczajnej sesji ONZ, o której już pisaliśmy).

Skoncentrowaliśmy się w tym przeglądzie na jednym tylko wydarzeniu — konferencji importerów ropy. Jak widać — daje ona komentatorom okazję do podjęcia kilku problemów, przekraczających tematykę waszyngtońskich obrad. Jest to przykład, jak we współczesnym świecie przeplatają się i łączą zagadnienia ekonomiczne i polityczne...

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Dużo wrzawy wywołały w ubiegłym roku dwie antologie poetyckie: Andrzej Lema „Kolumbowie i współcześni” oraz Jacka Kajtocha i Jerzego Skórnickiego „Debiuty poetyckie”. Po tej recenzentki burzy Krzysztof Gasiński napisał w „Poezji”:

„Antologie są społeczna szansa poetycka. Różne antologie tematyczne, chronologiczne, problemowe, autorskie”.

I to jest absolutna prawda. Z recenzentek pretensji i propozycji wysunętych na marginesie owych dwóch antologii — można by ułożyć — trzecią antologię. Albo więcej, i właśnie takie zbiory są potrzebne — i jak uczy księgarska praktyka — takie zbiory są przez czytelników poszukiwane.

Jest rzeczą oczywistą, że autor antologii dokonuje wyboru według własnej skali wartości: określonych poetów i określone poetyckie preferencje, inne przepili- czają. Jest to sytuacja normalna i rozdzierania szat nie warta. Trzeba natomiast, aby antologie układa- ne przez różnych poetów i różnych krytyków gościły częściej na księgarskich półkach.

Postulat ten, podnoszony od lat przez czytelników, krytyków i

wreszcie samych poetów, jest po- woli lecz konsekwentnie realizo- wany. Ukazała się bardzo intere- sująca antologia wierszy o Koper- niku. Ciekawie zapowiada się an- tologia wierszy o wojsku.

W tych dniach Państwowy In- stytut Wydawniczy wydał piękną dwutomową edycję „Poezja pol- ska”, opracowaną przez Stanisła- wa Grochowiaka i Janusza Macie- jewskiego. I już we wstępie obaj autorzy zapowiadają, że jest to wybór bardzo osobisty, że jest on wyrazem upodobań autorów, że jest to określony przez konkretnego poetę i krytyka wybór trady- cji poetyckich.

Odczuwam w tym zastrzeżeniu pewną asekurację przed ogniem krytyki, przed zarzutem „dlaczego pominęli Iłkę”. Takie pyta- nia oczywiście padną, bo padają zawsze przy okazji każdej antolo- gii, ale myślę, że Grochowiak i Maciejewski najmniej takich za- rzutów mogą się obawiać.

Antologia PIW obejmuje co prawda całą polską poezję od „Bogurodzicy” po Baczyńskiego, ale też autorzy dysponowali po- nad tysiącem stron! Żadna anto- logia powojenna nie ukazała się

w takiej objętości. Mogli więc au- torzy zmieścić w niej każde istot- ne zjawisko i nazwisko w polskiej poezji. Po prostu możliwości stwo- rzone im przez wydawcę ułatwiły zadanie pokazania historii polskiej poezji.

Stwierdzając ów fakt „możli- wości technicznych” nie umnie- szam bynajmniej zasług autorów. Można bowiem dysponować nawet stu arkuszami wydawniczymi i stworzyć wybór kaleki, niepełny lub zafalszowany. Podkreślając owe „możliwości techniczne” zwracam tylko uwagę na zasługi samego Wydawnictwa w stworze- niu autorom wyboru takich możli- wości edytorskich, na jakie obraz poezji polskiej zasługuje.

Nie zamierzam oczywiście szczegółowo omawiać antologii PIW-u, choć ja po prostu jak naj- szybciej polecę czytelnikowi „Od- głosów”, dopóki jeszcze książka jest w księgarniach. Wnikliwe oceny i analizy zostawiam kryty- kom.

Z pobieżnego przekartkowania obu tomów wynika jednak nie- wątpliwa prawda, że udało się autorom zanotować pełny obraz polskiej poezji. Od wierszy ano-

nimowych z XV czy XVI wieku po zabytki poezji ludowej („Ja- błonczka”), od romantyków — po twórców z wojennych „czasów pogardy”.

Pomijam wielkie nazwiska: Ko- chanowski, Słowacki, Mickiewicz — wiadomo, że stanowią one zna- ki milowe w polskiej poezji i ich obecność w antologii jest oczywi- sta. Do wierszy tych poetów tra- fić łatwo. Ale autorzy wyboru w swojej panoramie poezji umieści- li także wielu poetów niesłusznie zapomnianych (z różnych przesa- względów), poetów, których twó- rzość jest istotną wartością w hi- storii naszej literatury.

Znajdujemy więc wiersze daw- no nie publikowanego Jerzego Lieberta, znajdujemy wiersze za- pomnianego poety łódzkiego, Mie- czysława Brauna, odnajdujemy doszczętnie zapomnianego Stani- sława Korab-Brzozowskiego, wier- sze Wyspiańskiego, Zagajewicza, Balińskiego, Sebily...

Dla wielu czytelników lektura antologii Grochowiaka i Macieje- wskiego będzie więc także odkry- waniem nowych światów poetyck- ich. Autorzy bowiem zanotowali niejako ciąg historyczny polskiej poezji, ale także odkrywali w swej panoramie literackiej zjawiska za- pomniane czy przemilczane. Dzie- ki temu antologia PIW-u nie jest suchym aneksem do wypisów szkolnych, ale pasjonującą lek- turą.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

ROZWÓJ
PROGNOZOWANIA ROZWOJU

Czytałem przed paroma miesią- cami artykuł o rozgrywkach młodych i średnio-młodych lu- dzików, zatrudnionych w Biurze Współpracy z Konsumentem „Opinia”, skarżących się na bez- użyteczność tego co robią, na nie- potrzebność ich dobrej woli i kwalifikacji, na pustkę, w jakiej wiszą ich działania. Sporządziła na zamówienie różne rynkowe analizy — wiedząc z doświadcze- nia, że nikt nigdy nie skorzysta. Zleceńodawca płaci i wykazuje się przed swoimi władzami po- stepowymi metodami pracy, „Opinia” planuje, wykonuje składa sprawozdania, inkasuje na- leżność. Pracownicy „Opinii” po- bierają uczucie zarobione wynag- rodzenie. Tylko, że nie z tego wszystkiego nie wynika, to są działania pozorne, niby — działa- nia; to jest także marnowanie czasu i możliwości wielu ma- drych, ambitnych i uczciwych ludzi.

Boże, ile takich przykładów znam ze swoich wieloletnich doświadczeń i obserwacji! Ile „niby-działania”, uruchamianych kategorialnym poleceniem, mar- tych w chwili poczęcia, wydum- czeń na siłę, na zaspokojenie ciekawości, „wykazania się”, dla stworzenia ex post biurokratycz- nych „podkładów”, podsumowa- nia decyzji podjętych już dawno i weale od tego wszystkiego nie- zależnych! Istnieją w bardzo wielu biurach i instytucjach całe wydziały, ba — istnieją całe instytucje, zwłaszcza (tu przecho- dzi mnie lekki dreszcz trwoży po- plechac, ale powiem) o charakterze badawczym, prognostycznym, nor- motwórczym, których prawie, że jedyną racją istnienia jest akt administracyjny, powołujący je do życia. Siedzą w tych wydzia- łach i instytucjach ludzie z pięknymi dyplomami, przeważnie młodzi, o formacie pracowników koncepcyjnych, siedzą i patrzają, jak doskonale wszystko ob- ywa się bez nich, jak skazani są na funkcje atrap, zdołających okna wystawowe dopóki się nie zakur- zą i nie znużą. Piony opera- tywne szastają się w gorączkowej działalności, nie nadążają, im- pro- wizują ze świetnym wyczuciem praktyków, omijają rąfą sprytem i umiejętnością wyboru mniej- szego zła, mniejszego ryzyka.

Nawet nie wiedzą, czego żądać od tamtych komórek i pionów koncepcyjnych. Nie po- trafią ani żądać, ani korzystać z prawdziwej, spokojnej, anali- tycznej myśli. W tym stanie rzeczy koncepcjonści gnuszą, gorznią, z politowaniem wspo- minają swoje uniesienia i zapasy z okresu studiów, i albo — naj- częściej — adaptują się, czyli cynicznie i prędko na pensję, albo — co zdarza się rzadziej, ale na szczęście się zdarza — pro- testują, buntują się, odchodzą.

Dziennikarz „Kultury” przy- rzucił się bliżej takiej grupie „in- testatorów, nie godzących się na nie nierzębienie, w pewnym Ośrodku Rozwoju Eksportu pew-

nego Przemysłu. Kto ciekaw kon- kretnych, nazwisk, nazw — tego odsyłam do „Kultury”, mniejsza jednak o nazwiska. Fakt jest smutny, a przecież radosny: na- reszcie przerywany wysłyliwie milczenie, nareszcie pokazujemy nazgo króla. Bravo, pracownicy owego Ośrodka! Kto następny?

Były w owym Ośrodku na przykład cztery działy, każdy za- pewnie z kierownikiem, zastępcą itd. Słuchajcie pilnie: dział prog- nozowania eksportu, dział analiz rynkowych, dział analiz rozwoju eksportu, dział prognozowania rozwoju eksportu. Ojej, ojej... Niechże nam ktoś wytłumaczy, co te wydziały miały robić „ex definitione”? Czym się na liście boskiej różni prognozowanie eksportu od prognozowania roz- woju eksportu, a obydwie razem czym różnią się od analiz rozwo- ju eksportu? Czy można w jed- nym dziale na przykład plano- wać produkcję szelek na najbliż- szych pięć lat, jednocześnie w innym dziale planować rozwój produkcji szelek, a w jeszcze innym analizować rozwój produk- cji szelek? Czyżby, idealna, mate- matycznie klarowna bzdura!

Nie tak człowiek nie demoralizuje, ba — nie nie jest większą torturą, niż wykonywanie czyn- ności ewidentnie zbędnych. Wiedza o tym nie tylko ludzie z dyplomami. Robotnik ziemny zmuszony do przesypywania góry ziemi w tę i z powrotem oszaleje, choćby mu za to pre- sypywanie świetnie płacili. Jeśli nie oszaleje i nie ciśnie łopatą — to znaczy, że już stał się two- rem absolutnie cynicznym, bez- wolnym, bezwartościowym.

W wymianie poglądów i listów na temat omawianego Ośrodka przytoczone liczbę 90 mln zł, jaka stanowiła wartość dok- onanych w Ośrodku prac ba- dawczych w roku ubiegłym. Infor- mację tę podano jako osiągnięcie, jako argument za przydatnością 80-osobowego zespołu. Ale my wiemy, jak wycenia się prace typu badawczego, analitycznego itp. — ile tam jest narzutów, do- rzutów i marż. Nie tak dawno czytałem, że za opracowanie do- kumentacji kieszonkowej latarki elektrycznej, którą chciało pro- dukować w przemyśle tereno- wym, oddał Instytut, Ośrodek czy Laboratorium (nazwy tu są przeróżne i b. trudno się orien- tować, co stanowi ich diferen- tial — specifikum) zainkasował milion dwieście tysięcy złotych, a siedział nad tym ponad rok. Ile latarki na 20 złotych trzeba dzie- ciom sprzedawać, żeby zwrócić im same tylko koszty dokumentacji?

Jak to pięknie. Kiedy ludzie przychodzą i głośno mówią: nie chcemy brać pieniędzy za darmo! Chcemy ciężko, solidnie, ma- rze, skutecznie i przydatnie pracowac! Bravo Ośrodek Rozwoju Ekspor- tu. Kto następny?

ĆWIEK

KOŃSKA MIŁOŚĆ

Na cichej uliczce domków jeanorouziennych, gołębników i asanów wybucha bomba. Za de- tonator, wywołujący energię w ludzkich językach i szarpnięciach namiętności, posłużył niejaki Albin Kuciapa, czterdziestoletni wozak z dziada pradziada.

Jak zapowiada okoliczni miesz- kańcy, Albin Kuciapa zgubiła nadmierna miłość do koni. Albi- nek bowiem, będąc jeszcze dzie- ciakiem, obezwał się w pełni z za- pachem końskiego potu i zgazo- wanego obroku, gdyż często prze- bywał w stajni, gdzie ojciec w nieznanym chopcu języku treso- wał konie, gdy nie wywiązywały się należycie z końskich obowią- zków.

Syn był pojętny, przeto szybko nauczył się manewrować lejca- mi i raz nawet wjechał samowolnie do sklepiu z wozami obywatela Leopolda K., który zajęcie to wspominał po latach z gło- bkim wzruszeniem, albowiem młody Kuciapa, zamiast rozbezcze- sić ze strachu, wykorzystał z na- wiązką podłapaną u ojca zapas furmańskich zwrotów, po czym wysiobował sprawnie i odjechał.

W szkole nie opuszczał Albi- na miłość do koni. Wprawdzie nauczyciele mówili, że to nie miłość, lecz zwyczajne końskie nawyki, jednakże biolog stawał w obronie chłopca, twierdząc, że jest to zbliżona do atawizmu choroba zawodowa, przechodząca z pokolenia na pokolenie. Uczeń Kuciapa przeto bawił się bez- trosko w konie, pedząc przed sobą uwiązanych na sznurku ko- legów, a gdy któryś się potknął lub symulował ochwacenie, łoil ich biczykiem i podrywał do biegu słowami zachęty w tym rodzaju:

— Wio, wy sk... bo wam bąków napuszczam do d...!

Swoje przywiązanie do koni demonstrował i w ten sposób, że bardzo często sypał kolegom z koszulce owies, wyprowadzał zaś z lekcei na korty, przykładal usta do dziurki od klucza i rżał rozgłosnie.

Jako piatoklasista liczył lat piętnaście, więc nauczyciele mo- wili, że jest dobrze rozwinięty fizycznie. Cieszył się z tego i swoje rozwinięcie fizyczne wy- korzystywał do końskich założeń, czyli do szarpania za warkocze dziewczynek, klucza ich w ma- łeńkie posładki, a gdy rozwój fi- zyczny osiągnął szczyt, do przy- ciskania dziewczyn w ciemnych zakamarkach korytarza.

Nie przeto dziwnego, że Albin Kuciapa rychło puścił się galopem do stajni przy szkole wieczorowej dla pracujących, ale że faktycz- nie był pracujący, gdyż obez- dzał z ojcem miasto do późnych godzin wieczornych, niebawem odstawiono go od żłobu pełnego wiedzy.

Zaczął więc prowadzić z ojcem interes i pilnie zgłębiał tajniki zawodu wozaka. Wraz z wolnych chwilach szedł do spółki ze starym pół litra, lecz wkrótce zbrydło mu nazbyt opatrzone i osuchane towarzystwo rodzicie- la, zdradzał go więc i pil z ró- wieśnikami sikacz po bramach. Po wyciągnięciu połowy butelki nie otrzymał się jak pies, tylko prychnął. Na milicjantów też prychnął. A jak mu się znużyło prychnanie, to wierzał.

Potem poszedł do wojska, a gdy wrócił, ożenił się i zaczął prowadzić stateczne życie. roz- wożąc po domach węgiel, gdyż ojciec przekazał mu rolwagę i parę rosłych kasztanów. Niekie- dy tylko, po grubszym zarobku, albo poczęstunku u rencistów, którzy przekupywali Kuciapę go- rzalką, aby nie zwałł węgla na ulicy, lecz blisko komórek, ca- łował swe konie w pyski, a raz wyprzągił konia z dryndy, w której smacznie drzemał doró- żkarz, popchnął wehikuł w dół ulicy i bardzo się ucieszył, kiedy ten wyrwał tyłem w gazowa la- tarnię...

Sąsiedzi zapodają, że Kuciapa nikomu się nie narażał. Ogródził wysokim płotem swoją działkę, żeby kury z prowadzonej przez

żonę farmy nie wpadały do są- siadów i żeby nie śmierdziało. Około dziesiątej zajeżdżał w pod- wórze z wydławaną węgiel rol- wagą, aby spożyć śniadanie. Ta sama scena powtarzała się o godzinie 14 (obiad) i o 17 (po- dwieczerek). Nie zawsze udawało mu się rozwiązać wszystkie we- rtele, toteż rankiem wyjeżdżał z jakimiś resztkami w deskach rolwa- gi.

Z początku uważał z żoną do kocięta, potem zaprzestał, ale tego mu sąsiedzi tak nie wyrzucali, jak nowych garnitu- rów w każdą niedzielę i wyja- zdo samochodem marki „Tau- nus” w nieznanym kierunku.

Dnia 25 stycznia bieżącego roku Albin Kuciapa, jak zwyk- le, zajeżdżał z węgiel na śnia- danie i obiad, coś niecoś chlapał, reńcei też poczęstował, więc go z lekka zmorzyło. Konie zatrzymały się na pustym posto- ju taksówek i dalej nie mogły ruszyć, bo było pod górke. Z postoiu zawsze jedzie się pod górke i nie wiadomo gdzie i za- ile się dojedzie.

Niebawem za rolwagą zatrzy- mał się taksówkarz „Pia”. Kłakson nie pomógł, więc kie- rowca wyszedł, szarpnął Kucia- pę za ramię i wrzasnął:

— Ruszaj ty, w mordę bity spaliniowce obrokowi!

Kuciapa nie. Taksówkarz go za klapy.

— Odjedź — krzyczy — ty faeh- manie od przerzucania biegów biczykiem!

Kuciapa się ocknął i zaczął bić konie. Orły kopytami o asfalt, ale nie ruszyły. Kuciapa więc szedł i zaczął je łagodnie zachęcać do pracy, używając epitetów, wśród których powta- rzała się nazwa choroby wene- rycznej, z francuska zresztą oraz imię przodków zajmujących się prostytucją.

Ponieważ w mieście mnożyły się fakty prześladowywania wozów węgiel, których konie nie mogły uciągnąć, a wozacy bili je okrutnie, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami rozesa- lało do składów opałowych pisma z prośbą o nieprześladowanie wozów, ostrzegając zniechęcając stana przed Kolegium Karno- -Administracyjnym.

Spółeczeństwo było więc uczu- lone, toteż na postoiu zebrał się

tłum, który każde uderzenie ko- nia przez Kuciapę kwitował peł- nymi potępienia okrzykami.

— Łobuz!
— Sadysta!
— Męczywołek!
— Do obozu go!

Taki własna matkę by zabił! Kiedy osaczony Kuciapa jęknął, że konie nie ruszą, taksówkarz polecił mu usnąć trochę węgla. Kuciapa odpiął tylną klapy rol- wagi i zwałł węgiel na maskę „Flata”. Taksówkarz zszedł ze złości, ale zaraz pojawił się mi- licjant i kazał Kuciapie odjechać. Ten się sprzeciwił, tłumacząc, że ludzie rozkradną mu węgiel. Przez to długie gadanie milicjant wyczuł chuch Kuciapy i odpro- wadził go z wozem na skład opa- łowy. Okazało się, że brakuje dwa metry węgla. Milicjantowi wydało się to podejrzane, przy- wieszono więc węgiel z ulicy i stwierdzono komisyjnie, że jest tylko metr. Nikt nie mógł ukraść, bo na ulicy pełnili ochot- niczo straż harcerek.

Teraz już dwóch milicjantów odprowadzało Albin Kuciapę do domu. W dwóch komórkach zna- leziono iscie opalowy melanz, węgiel grubý, grysk, kóks, nawet brykiet sprzed kilku lat, a było tego około czterech ton. Kwitów natomiast nie znaleziono.

Okazało się, że podczas każdego posilku Kuciapa ładował z rol- wagi część węgla do komórek, a co się z nadwyżek nie mieściło, sprzedawał. Tak więc wysoki płot chronił przed włóczękami oczyma i wszystko grało.

Ten płot nie miał nie wspólnego z fruwiąjącymi kurami, bo farma była prowadzona dla pucu. Milicjanci znaleźli bowiem ukryte drzwi prowadzące do ku- rzey farmy, za którymi zwierzy- ki zapach fuzy, bliżej z dwóch kadeł zacieru. Kurze łajno prze- słańało bimbrownię, dzięki któ- rej Kuciapa nabył „Taunusa”. W bagażniku wozu produkty do okolicznych miasteczek.

Jak widać, sprawa wydała się przez nieszcześliwy wypadek nieuctwo Kuciapy, który za- pomniał, że BHP dla wozaków wyraźnie zabrania bić konia na postoiu...

I nie ma się z czego śmiać. Bo może się to łatwo czyta, ale żeby coś takiego napisać, trzeba mieć końskie zdrowie!

JAN GONTAL

SPORT

CZEKAJĄC NA FINAŁ

Wzdycham sobie do tych cza- sów, kiedy to mecz piłkarski mo- gło oglądać z wyłączonej fonia, bo i tak wszystko słyszałem przez ścianę od sąsiada — kibica. Wczoraj Stefan Hula wyska- kał sobie pierwsze miejsce w po- łowie dwubój klasycznego. U sąsiada byli goście. I zamiast komentarza sportowego — słyszałem chórne śpiewy. Zza ściany co- raz częściej słyszę tetent koni bohaterów „Czarnych chmur”, strzały w Dodge City, ba nawet pobikiwanie Koziołka Matołka, a coraz rzadziej sygnał „Magazynu sportowego”. Dla sąsiada widac przetrwa w sportowym sezonie.

Spokojniutko i bez szumu po- wrócił do kraju Andrzej Bachle- da. A przecież przywiózł medal. Prawdziwe srebro i to z napraw- dziszew Mistrzostw Świata. Za to sporo szumu narobiło kolo wyjazdu innego mistrza, choćnie było żadnego z tym problemem, a

i sam mistrz problemu nie zrobił, bo w Mi- strzostwach Świata, rozgrywa- nych w Fatun, zajął 29 miejsce.

Ala nie było to ostatnie jedne wydarzenie, które mogły zbul- wersować opinie kibiców. Dobre wyniki osiągnęli saneczkarze, lyż- wiarze (ci od lazdy szybkiej, a nie od flurowej, oczywiście), lekkoatleci na zawodach w ha- lach. Kibice ocknęli się jednak dopiero wtedy, kiedy telewizja transmitowała zaległy mecz o wejście do finałów Mistrzostw Świata, rozgrywany między Ju- gosławią a Hiszpanią. I tak już bywa. Migają na ekranie kola- rze, hokeiści rozbijają sobie gło- wy i łamią kije, walczą o piłkę koszykarze i siatkarze (koszykar- ki i siatkarki także), skaczą nar- ciarze, jeżdżą lyżwiarze, a kibice sezon uznali za martwy i tylko czekają tych czasów, kiedy na zieloną murawę boiska wybiegnie

22 panów z jedną piłką.

Wtedy nawet w najbardziej niemrawym Polaku odezwie się lwia dusza kibica, a na łamach dostojnej „Literatury” namnoży się „Rezerwowcy”, którzy zwy- kli swoje pióro oddawać na usłu- gi sportu. Wtedy też rozgorzeje w tramwajach dyskusje, a mój wielce uczony kolega redakcyjny Jasio G. włączy się do zażartego sporu o Gadoche, na leć pokona wszystkich dyskutantów, aby na koniec sporu zapytał z miną nie- winnego dziecka: — A kto to w ogóle jest ten Gadocha?

Gdzie tkwi tajemnica popular- ności piłki nożnej? Czy tylko w widowskich walorach tego sportu? Czy może w tradycji? Czy może w tym, że na piłkę nożną zna się każdy Polak, jako że każdy w młodości kopał piłkę na podwórku? Odpowiedź na te pytania ustala niewątpliwie so- cjolog, przeprowadzwszy setki

ankiet. Odpowiedzi na pytanie, czy Polak zna się na piłce nożnej już udzielił w „Trybunie Ludu” mgr inż. Jerzy Kozłan. Stwier- dził on autorytatywnie, że na piłkę nożną nie zna się nie tylko kibice, ale również, dzia- łacze i zawodnicy. Piszcie on: „...większość incydentów mają- cych miejsce na boisku i na try- bunach ma podłoże w niezna- jomości podstawowych przepisów gry i o dźwi dotyczy to nie tyl- ko kibiców, ale i zawodników”. A bierze się to z prostej przyczy- ny, że „Przepisy gry w piłkę nożną” wydane w Polsce trzy- krotnie (w 1959, 1965 i 1969 roku) „...starczają zaledwie dla se- dziów i nieleżących działaczy”. „Kluby — pisze on dalej — które posiadają te przepisy, można za- liczyć do szczęśliwyc. Kto wie z kibiców, działaczy, graczy, in- stytutów czy trenerów może knuć takie przepisy w księgarni lub kiosku? Nikt. Bo ich tam nie ma i nigdy nie było”.

Ot, przykrość. I dlatego meto- da mego sympatycznego, redak- cyjnego kolegi Jasia G. jest nie- zawodna i jak się okazuje pow- szechna.

BOGDA MADEJ



BUDA GÓRSKIEGO

Leszek Prorok zawsze mi się, jako pisarz, kojarzył z Poznaniem i Gdańskiem. Pierwsza książka wydała w 1939 roku w Poznaniu, a w 1940 w Gdańsku. I raptem Leszek Prorok wydał w „Bibliotece Syrenki” piękną książkę — pamiętnik o swoim gimnazjum im. Wojciecha Górskiego. Przez całe dziesięciolecie, do roku 1939, widać było w

Warszawie sztubaków w oryginalnych czapkach, odbiegających od przyjętego szablonu uniformowego; byli to uczniowie gimnazjum Wojciecha Górskiego, dumnie paradowali w kepi wojska francuskiego.

I o tej szkole w ostatnich latach jej istnienia mówi Leszek Prorok w pierwszej części pamiętnika. Niepowtarzalna atmosfera młodzieńczego lat spędzonych w murach tej szkoły została przypomniana w sposób żywy i plastyczny. Talent pisarski autora w połączeniu z sentymentem do lat młodości, zawsze „kórnej i chmurnej”, nadają tej części pamiętnika osobliwy urok.

A potem zmienia nastroje — gwałtowna i tragiczna. Zapiski z Powstania — opowieść o tym, co widział i przeżył żołnierz walczący w Warszawie. Piękna książka — jeszcze jeden hołd złożony stolicy.

Leszek Prorok „Kepi wojska francuskiego”, PIW, cena 25 zł.

DZIEŁO OTWARTE

Książka Umberto Eco jest zbiorem szkiców z zakresu historii kultury, a ściślej mówiąc — z zakresu historii poetyki. Autor ukazuje obecny etap naszej kultury poprzez analizę założonej poetyki dzieła „otwartego”. Za tym pojęciem kryje się hipotetyczny model dzieła rozumianego jako pewna nieokreślona, wieloznaczność przekazu, margines swobody pozostawiony odbiorcy.

O tych sprawach pisze Umberto Eco, ukazując dominujące dziś awangardowe kierunki w literaturze, muzyce, malarstwie, filmie... Autor jest włoskim filozofem — specjalizującym się w zakresie estetyki. Opublikował wiele prac naukowych, bardzo zresztą złożonych. Książka wydana w niewielkim nakładzie adresowana jest przede wszystkim do ludzi zajmujących się zawodowo problemami sztuki i estetyki.

Umberto Eco „Dzieło otwarte”, Wyd. „Czytelnik”, cena 47 zł.

ZAGINIONE CYWILIZACJE

To dziwne, że im wyższa jest nasza cywilizacja — tym namniej szukamy tajemniczych zaginionych w mrokach historii cywilizacji. Ostatnio ukazało się drugie wydanie pasjonującej książki radzieckiego uczonego, Aleksandra Kondratowa — „Zaginione cywilizacje”.

Autor wprowadza czytelnika w świat najnowszych odkryć z dziedziny historii starożytnych kultur... Stawia pytanie: jakiego okresu sięgają początki cywilizacji naszego globu i jakie jest jej źródło. Podaje ucytonowane na ten temat są pełne sprzeczności. Jedni za kolebki cywilizacji uważają Egipt, inni Sumer, jeszcze inni Kreta... Kondratow stawia tezę, że na świecie powstawały cywilizacje równoległe i zupełnie od siebie niezależne — a zbieżności wynikały z wyjątkowość z wspólnego wszystkim ludom prawa rozwoju społecznego.

Pogląd bardzo ciekawy, ale czy podobny kształt piramid w Egipcie i w cywilizacji Tolteków wynikał z praw rozwoju społecznego?

Książka „Kondratowa” jest bardzo ciekawa, szkoda tylko, że autor tak chętnie posługuje się drwiną, zamiast argumentacją. Prace innych uczonych — Kaczmarek i Agresta na przykład — nazywa „opowiadaniem fantastycznym”, nie zadaje sobie jednak trudu, aby od epitet uzasadnić. Pewność siebie i apodyktyczność szkodzi więc nieco tej książce, nie na tyle jednak, aby obniżyć jej atrakcyjność.

Aleksander Kondratow „Zaginione cywilizacje”, PIW, cena 50 zł.

„TYGRYSY” W ALEJACH...

Tytuł tej książki mówi właściwie wszystko — „W Alejach spacerują „Tygrysy” — sierpień-wrzesień 1944”. A więc Warszawa, a więc Powstanie. Treść książki Elżbiety Ostrowskiej, instruktorki Szarech Szerogów, stanowiła przeżyca i doświadczenia w służbie łączności w okresie Powstania Warszawskiego. Ta niezwykle trudna, niebezpieczna i zapewne nie zawsze doceniana służba pełniona była przede wszystkim przez kobiety.

O kobietach w Powstaniu pisze w wstępie Stanisław Komornicki: „Któż z nas — żołnierzy Powstania nie pamięta łączniczek, sanitariuszek, pielęgniarek w szpitalach. Pamiętamy, że pracowały w intendenturze, organizowały i prowadziły kuchnie polowe, kantyny, szwalnie, pralnie, łaźnie (...), nierazko walczyły w oddziałach bojowych, w patrolach saperko-minerskich...”

Elżbieta Ostrowska pisze o heroizmie tamtych dni i ludzi. Pisze, że edywy nie wspaniałe przykłady bohaterstwa, samopobicia, bezinteresownego poświęcenia — nie chciałaby nigdy myśla wrócić do tego okresu. Ale wrócić warto i trzeba. Takie książki są potrzebne.

Elżbieta Ostrowska „W Alejach spacerują „Tygrysy”, PIW, cena 45 zł.

ŚLONIMSKI

O Słonimskim co napisać? Każda jego książka budzi te same zachwyt i sprzeczny. Także i ten tom felietonów jednym będzie się podobał — innym nie. Taki już los pisarza, który ma własne zdanie. Nie jest to — myśle — los najgorszy, bowiem w ostatecznym rachunku raczej mała ci pisarza, którzy mają własne zdanie. Nawet jeśli się myli.

Pisze Słonimski: „Pisarz ma prawo być irracjonalny (...). Pisarze mają prawo do nietolerancji, pienactwa, namietności i pasji oraz osobistych animozji”. Chyba racja, wcale wszystko beznamietnie i „obiektywnie” można stworzyć sprawozdanie kwartalne, ale nie dzieło sztuki.

W zebranych w książce blisko 60 felietonach Słonimski też bywa pasjonatem namietnym i... nietolerancyjnym. To ostatnie zresztą rzeczy się gubią, zaufałostwa, chamstwa i innych naszych powszednich grzechów głównych. Zresztą, co tu opowiadać — przeczytajcie sami — jeśli jeszcze zdolacie kupić.

J. WIL.

Antoni Słonimski „Obecność”, Wyd. „Czytelnik”, cena 15 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Stanisław Dygat — „W cieniu Brooklynu”, Czytelnik, cena 15 zł.

Stanisław Broniewski — „Igraszki z czasem”, Wyd. Literackie, cena 55 zł.

Flodor Dostojewski — „Gracze”, „Książka i Wiedza”, cena 10 zł.

Bruno Schulz — „Proza”, Wyd. Literackie, cena 35 zł.

Stanisław Neda-Kubiniak — „Wiersze i poematy”, LSW, cena 100 zł.

FILM

TRZEBA WIEDZIEĆ CO TO JEST WESTERN

Aleksander Jachowicz w swej recenzji filmu „El Dorado” cytując słowa reżysera Howarda Hawksa, jednego z klasyków westernowego gatunku („Rzeźba Czerwona”, „Rio Bravo”), który powiedział: „Ci, którzy starają się „wyskoczyć z gatunku” robią rzeczy złe; starają się okazać zbyt sprytni, zbyt przewrotni — i psują film. By zrobić western, trzeba najpierw wiedzieć, co to jest western i z całą uciwłością pozostać wewnątrz formuły prawdziwego westernu”.

Ten sam Hawks chwali jednak „Strzały o zmierzchu” Sama Peckinpaha i film „Był to Willie Boy” Abrahama Polonsky’ego. Uwagi jego nie dotyczą zatem reżyserów, którzy wprowadzili do klasycznego westernu historyczną korektę. Nie dotyczy też westernów, w których przyczyn wewnętrznych przeobrażenia doszukiwać się należy w całym znamennym w ostatnim piętnastoletnim procesie demitologizacji dzieł Dzikiego Zachodu. Te tradycje, których nosnikiem jest także amerykański western, musiały zadenudować o tym, iż począwszy od filmu „W samo południe” Freda Zinnemana po „Wielkiego młodego człowieka” Arthura Penna nowe, postępowe historycznie i psychologicznie treści, częstokroć pociągają za sobą próby przełamania konwencji tzw. klasycznego westernu, dotyczy to głównie sposobów rozwiązywania konfliktów, a także samego rysunku postaci. Konflikt pomiędzy rzeczywistością historyczną, obyczajową, psychologiczną a jej mitologizacją przez sam western ukazywana jest czynnikiem sprawczym zjawisk nowego, często nazywanego anty — czy nadwesternu.

Swiadomość tych faktów skłaniała kino i skłaniała nadal, dziś chyba właśnie częściej, do tego, by western uczynić źródłem najbardziej komercyjalnych komercyj. Zamówiwszy u scenarzysty niby westernową historyjkę, ubrawszy aktorów w westernowy kostium, zapłaciwszy za jugosłowiański czy hiszpański plener można w nieskończoność kreć filmy, które reklamują się późniejszą realizacją. Owe „westerny” realizują dziś, jak wiadomo, Niemcy z obu stron Laby we współpracy z jugosłowianami (Winnetou et consortes). Włosi osiągnięci swych „spaghetti-westernów” stali się kasową konkurencją nawet dla Amerykanów. Dziś reżyserów, również tych z Hollywoodu, prześlagała się w pomysłach o odnawianiu westernu przez wprowadzanie postaci, których klasyczny western nie dyskutował. Te zabiegi nie mają jednakowa nie wspólnego z nurtem „nadwesternu”, reprezentowanym m.in. przez wspomnianych wyżej

takich twórców, jak: Peckinpah, Penn, czy sam twórca wielkiej mitologii westernu czyli John Ford. Jeśli wspomniemy także jego późniejsze filmy jak: „Kto zabił Liberty Valencę?” i „Jesień Cheyennów”.

Potrzeba przypomnieć tych faktów prowokując dwa krańce aktualnie po ekranach filmy: „Król Dzikiego Zachodu” Christiana Jacque’a oraz „Samuraj i kowboje” Terence’a Younga, będące tyle samo sugestywnym co żalonym potwierdzeniem komercyjnej operacji dokonywanych na jednym z najdoskonalszych i najpiękniejszych gatunków sztuki filmowej. Nie mam nie przeciwko parodiom westernu, „Pechowiec na preri”, „Kochajcie swego szeryfa”, przeciwnie, lubię reguły gry parodie obowiązujące. Dlatego też „Król Dzikiego Zachodu” nie mogę za parodię westernu uznać. Jeśli więc nią nie są, zgłaszam swój, nikomu zresztą niepotrzebny, sprzeciw. W pani Bardot, jak większość kobiet, nie gustowałam nigdy, panią Cardinale, przeciwnie, zachwycam się bardzo często — posłada urodę i szczerze do reżyserów (Fellini, Visconti), którzy potrafili urodę tę zgłębić i przeobrazić. Wykorzystanie obu pań we francusko-hiszpańsko-włosko-angielskim „westernie” przekroczyło nie tylko granice najprostszego smaku, ale określiło także granice upadku komercyjnego westernu. Choć tłumy wala, by błądził obu pan oślądła, by eksperymentować się ich konyami galopami i słayną bółą, sadze, że ci, co western naprawdę znają i kochają, przeżywała na filmie tym meki. Zaprezentowana w nim westernowa przebranka

grzebie wszystko, co westernem jest. Christian Jacque nie byłby zrecenzjonowanym reżyserem, gdyby nie udało mu się wprowadzić do filmu kilku dobrych francuskich dowcipów, ale to wszystko jest jednak w tym filmie postacią, która gra świetnie amerykańskiego aktora Michaela Pollarda — on to jest w tym filmie niezamierzonym głosem sumienia, choć stworzył tylko parodystyczną postać szeryfa. On przywołuje pamięć westernu nie tylko w ostatnich słowach filmu, w których konstatuje, iż dla prawdziwych mężczyzn nie ma już miejsca na Dzikim Zachodzie.

O ile Christian Jacque’owi trudno się dziwić, iż westernu robić nie umie, o tyle sprawne dokonanie Terence’a Younga uznać można za swoiste harakiri na westernie dokonane. W „Samuraju i kowbojach” doszedł do głosu ów pogoń za nowościami, pogoń konieczności, by western nie umierał. Pomyśl, jest znakomity — zderzenie dwu cywilizacji, tradycji i mitologii: samurajskiej i kowbojskiej. By jednak z tego coś wynikało, trzeba zgłębić ich istotę, a nie przekształcać się po banale sytuacji, zachowań i gestów, w efekcie czego rzący się nas, pod pozorami sprawności warsztatowej, kosmiczną bzdurą. Tym razem nie tylko wielbiciele westernu, ale wszyscy miłośnicy kina dostrzegają w filmie tym karykaturę — westernu po pierwsze, a po drugie — pewnych typów postaci filmowych uosabianych przez poszczególnych aktorów. Wielki Toshiro Mifune jest karykaturą samuraja, Alain Delon — kulturowanego przez siebie czarnego charakteru, Ursula Andress nazywana „najpiękniejszą zwierzęcą kobietą świata” — to zaprzeczenie westernowych bohaterów, nawet tych z saloonu. I tylko znakomity w typie, mało u nas znany Charles Bronson, na swoim miejscu, ale to zbyt mało, jak na film, który chce być westernem.

Powrót do „El Dorado” Hawksa to szansa oczyszczenia, to wiera w siłę westernu, który w swej najszlachetniejszej formie zwyciężyła.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

SMUTNY PIOTRUŚ

Pierrot, pocieszny pajacyk z krainy dzieciństwa jest postacią o długim żywocie. Jego historia zaczyna się w XVI wieku we Włoszech na deskach cyrkowej estrady komedii dell’arte. Nazywał się wówczas Pedrolino i był służącym — sprytnym i przekornym.

W XVII wieku przenosi się do teatru francuskiego i tutaj obok imienia Pierrot’a zyskuje swój własny kostium: luźne, białe spodnie i bluza z wielką kryzą. Jednocześnie ta postać na gruncie francuskim podlega pewnej sublimacji, którą trafnie oddaje znany obraz Antoine’a Watteau „Gilles”. Pierrot traci swoją przyrodzoną wesołość i staje się smutny, tajemniczy. Stąd już o krok do mistycznego uwielbienia, jakie składali temu kłownowi francuscy romantycy. Pierrot wchodzi do literatury jako główny bohater wielu dramatów. To nowe wieloletnie zyskuje też sugestywna kreacja teatralna w tamtych czasach. Wielki młody Jean Gaspard Debureau dzięki swojej indywidualności aktorskiej tworzy na scenie paryskiej teatryku „Les Funambules” romantyczną legendę Pierrot’a, nieszczyśliwego kochanka.

Te postać utkana z marzeń i snów przypominała ostatnio telewizji w dwuczęściowym filmie Marcela Carne i Jacquesa Preverta „Komediantów”. Film, z którego wile niegdyśszych piękności ułotniło się dzisiaj bez śladu warto przeżyć raz jeszcze dla kilku scen nie tracących — mimo upływu lat — swego poetyckiego

blasku. Mimo kunsztownej poetyki tego utworu, w którym życie misterne spleta się ze sztuką trudno nie odczuć anachroniczności artysty szandarowego dzieła „Komediantów”. Romantyczne wzruszenia, które towarzyszyły niegdyś „Komediantom” pokazywały swe sentymentalne dno, filozofia odwołująca się do bańki, a przejmująca atmosfera spletała, odwołując się do bańki. Prostu nasze doświadczenia ze współczesną sztuką filmową nieco bardziej skomplikowały się i dziś tandeta „Komediantów” zaczyna razić. Film broni się jednakże paradoksalnym obrotem rzeczy dzieki pantomimicznej roli wybitnego twórcy współczesnego teatru Jean-Louis Barraulta. Zatem filmowe uroki tego wzorzystego arcydzieła spływały a nadal triumfuje w nim materia obca i pożyczona czyli sztuka pantomimy. Czy jednak rzeczywiście tak bardzo obca? Koronnym dowodem potwierdzającym to wątpliwość niech będzie twórczość genialnego mima filmowego, jakim był Charlie Chaplin. Zresztą odległe źródła jego sztuki są tożsame ze źródłami inspiracji Barraulta i leżą również w komedii dell’arte. Lecz w „Komediantach” poczucie obecności ról się z wyraźnej stylizacji teatralnej elementów miodramu, której zresztą został podany cały film od fabuły aż po typ aktorstwa. Barrault patrował przedsięwzięciu Carne’go i Preverta od samego początku. To on ich zainspirował swoją opowieścią o romansowym epizo-

dzie z życia XIX-wiecznego mima Jeana Gasparda Debureau. I sam genialnie zagral tę rolę, by w nowej wersji fascynująco przedłużyć legendę.

Kim jest Jean-Louis Barrault? ...mężczyzna nerwowy, o płonących oczach, królewskim nosie, brodzie zamionującej się woli i o metalicznym brzmieniu głosu, posiada wyjątkowo rytmiczny i rasowy — tak go opisuje Paul Surer w książce „Teatr francuski”. Istotniejsza wszakże od charakterystycznego wyglądu jest rola Barraulta w dziejach współczesnej sceny. Opowiada się on za teatrem totalnym, w którym organicznie istnieją wszystkie formy teatralnego wyrazu: dialog, balet, plastyka i pantomima. Jest twórcą historycznych już inscenizacji dramatów Claudela i prozy Kafki. To artysta wszechstronnie uodolniony, dla którego uprawianie sztuki stanowił jedyny sposób istnienia, jest namiętną, pasją. I świętym powołaniem. Jako autor uprawia trudną sztukę pantomimy, która w jego interpretacji łączy wyrafinowany intelektualizm ze spontanicznością komedii dell’arte.

Można wyśledzić uderzającą zbieżność pomiędzy osobistym temperamentem artysty a kreowanym przezeń bohaterem „Komediantów”. Łączy ich romantyczny stosunek do sztuki, życie teatrem, w którym bez reszty spełnia się ich natchniona egzystencja. To pokrewieństwo z przeznaczenia miało decydujący wpływ na artystyczną prawdę tej filmowej kreacji, która do dziś nie straciła swej aktualności.

Baptysta atakuje swą niezwykłością od pierwszego momentu pojawienia się na ekranie, kiedy siedzi bez ruchu na scenie ponizony i wzgardzony, z martwą, bolesną maską na twarzy — jak zraniony ptak. Lecz w tej martwości wyczuwa się dramatyczne napięcie, które za chwilę wyładuje

się w mimodramie wyzwalającym Garantie z podejrzania o kradzież. Tak zrodzi się niespełniona miłość Pierrot’a do przewrotnego Colombine. W pantomimie Barraulta płynna kompozycja ruchów ciała tworzy wzruszający ekstrakt melancholii i nostalgii, paruje najszlachetniejszym liryzmem. Jego Baptysta nie uprawia pantomimy czystej i abstrakcyjnej. Pełni ona w tych kilku zaledwie, jakże krótkich, fragmentach filmu funkcje narracyjne, lecz nie popada w imitację. Barrault poetycko syntetyzuje gest i postawę, nadając ruchomemu rzeźbie swego ciała niepowtarzalną, zjawiskową piękność. Porusza się z genialnym wyczuciem utajonego rytmu, w sposób zbliżony do naturalnego tańca i dzięki cudownej lekkości porusza zdaje się dematerializować w naszych oczach. Staje się fenomenem nadrealnym.

W czasie paryskich rozruchów studenckich w maju 1968 roku teatr Jean-Louis Barraulta Odeon zostaje zdemolowany, obrzucony ekskrementami, z wyjątkowym sadyzmem i premedytacją rozbity. Podobno wielki Barrault płakał. Jakby oplakiwał śmierć Pierrot’a. Tymczasem tenże Pierrot zmarł wyczerpany w bardzo znaczącym dla naszych czasów filmie Jean-Luc Godarda „Szalony Piotruś”, w którym poprzez sarkazm, ironię i sztyretwo, poprzez nerwową destrukcję i anarchię zachodniego świata przebijają znajomy, zniewalający smutek tamtego lirycznego fantomu, który zabłąkał się — przypadkowo? — w tym „nowym, wspaniałym świecie”.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIAŻKA

POSUCHA NA ROMANS

Zdumiewające, jak trudno jest pisać o miłości. Ba, nawet przyzwyczajony romans zniknął z polak bibliotecznych i z naszej nomenklatury. Gdzie te czasy, gdy opasłe tomiska opiewały miłość i nawet zawile intymny polityczne, wojny i wszystkie meskie sprawy w niewzbrach obracała kobieta. Czy dziś jest inaczej, czy współczesny pisarz nie widzi takich współzależności, czy po prostu lekceważymy sferę ludzkich doznań, albo nie umiemy o niej pisać?

Niewątpliwie o sprawie tak poważnej jak miłość, wielkie słowa wypowiadają wcale pisarze. Ale romans pisywano na tej samej zasadzie, na jakiej funkcjonowała i funkcjonuje powieść sensacyjna. Romans, jak sensacja też może być złe, albo dobrze zrobiony. Najgorzej, gdy jest żaden, letni, nijaki. Nie potrafi zapalić niczyjej wyobraźni. Żadna dziewczyna czy lady sklepowej, z okienka na pocztę, z platformy tramwaju, nie będzie

po przeczytaniu takiego romansu marzyć na zaśnieciu. Nie wydadzą chusteczki do nosa z kieszeni. Tak! Bo chusteczka jest tu symbolem i wcale nie najgorszym. I wcale nie wyklęciem, jak chciałby tego empykier. Popłakać, jak pomagają poczuje się lżejszy i lepszy. Lzy, jadąc śmiech są symbolem na rozdławanie napięć codzienności. Nasza codziennosc bowiem jest tylko z pozoru „codziennoscia” w znaczeniu, jakie zawsze wiazało się z tym słowem. Cywilizacja atomowa-komputerowa mało ma wspólnego z tradycyjną zawartością tego pojęcia. Być może stary, poczytywany sentymentalizm byłby równie dobrym lekarstwem na dzisiejszą „codziennosc”, jak zdrowy śmiech. O jedno i drugie jednak diabełnie trudno. Zwłaszcza w dobrym gatunku.

Na okładce „Deszczowego sezonu” Eugeniusza Iwanickiego czytamy: „Jest to powieść o mi-

łości dwojga ludzi, których dzień przeszłość, pochodzenie, samotność... Ta opowieść pełna liryzmu, subtelnych nastrojów i poezji...”

Otoż nie. Nie jest to powieść o miłości. Jest to powieść o jakimś fragmencie życia mężczyzny, w którym spotyka on kobietę. W trakcie lektury trafiamy raz po raz na retrospekcje „szarpane”, wyrwytkowe, niepełne w sumie dające jednak jakiś obraz przeszłości bohatera. Nie odpowiadałoby zadawałoby na pytanie, dlaczego nie znalazł on swego miejsca w życiu. A to byłoby ciekawe. Fakt bowiem, że nie udało mu się zrobić kariery nie przesadza o przegranej życiowej.

Miłość nie jest bohaterem tej książki. Miłość pozwala się tylko odnaleźć bohaterowi po nieudanej i samotnym życiu. Zaczyna jeszcze raz, od nowa, mimo wieku, doświadczeń i zawodów.

Proza tej książki jest bardzo opisowa, „zewnętrzna”. Aby stworzyć obraz miłości, wrygodnej, prawdziwej trzeba budować obraz literacki od wewnątrz. Kreować i tworzyć. Lepiej uczucie, jak rzeźbę w glinie, ciosać je dłutem, jak w kamieniu tworzyć. Tylko tak „zrobiona” miłość przemawia, wzrusza, wstrząsa. Nie znaczy to, że nie wierzy-

my kochankom z „Deszczowego sezonu”. I owszem — jesteśmy pewni, że będą żyć „długo i szczęśliwie”. Ta miłość wychodzi z dostojnego pożaru, zapala się bowiem dom nad głowami kochanków. W nas, mimo to, nie zapala się iskra emocji. Nie oznacza to również, że książka jest nudna, że napisana, nieciekawa. Przeciwnie, czytając ją, dostrzegamy, że zresztą, można w niej znaleźć wiele rozsądnych spostrzeżeń. Chęć to, że trzeba żyć teraz, niechęć, a myślimy, ambicjami — wybiegać naprzód. Fobie przeszłości samo życie składa do lamusa i hodowanie ich ponad godziwą i słuszną pamięć prowadzi do samouniewolnienia. Tak, symbolicznie ginie w pożarze domu stara kobieta, która z obsesji wojny wyjęła nie umiała.

Można by wyliczyć jeszcze szereg innych, słusznych założeń tej książki, która będzie miała swoje powodzenie, chociaż nie jest powieścią o miłości, jak chce tego reklamówka wydawnicza.

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

Eugeniusz Iwanicki: „Deszczowy sezon”, Wydawnictwo Łódzkie 1973.

MAGAZYNEK

NAUKOWCY — OPTYMIŚCI

Otóż grupa zoologów z uniwersytetu w Dover stwierdziła, że gdyby nawet najbardziej inteligentna małpa dała aparat filmowy, taśmę, ekipę, producenta, scenarzystę, aktorów, pieniądze, fajkę i czapkę z daszkiem, to nie nakreśliła filmu. A człowiek nakreśli.

NISZCZYMY CWANIAKÓW

W Japonii żyje reżyser filmowy, który robi bardzo złe filmy ale tak sprytnie, że wszy-

scy myślą, że są one bardzo dobre. Gdyby ktoś z państwa

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina”
K.I.G.

jechał do Japonii, to prosimy pogadać z ludnością, by wreszcie poznała prawdę.

ANGIELSKA PRZESADA

W Anglii, a więc zapewne w Londynie, otwarto pierwsze na świecie kino dla narzekaczy. Wyświetla się w nim jedynie kiepskie filmy i narzekacze mogą sobie głośno poutyskiwać i ponarzekać, tak jak to lubią. Ostatnio wyświetlono im polski film lotniczy i narzekacze byli bardzo zadowoleni.

GLUPIE I ZŁOŚLIWE PLOTKI

W kołach ludzi niesympatycznych krąży ostatnio paskudne plotki. Podobno w przygotowywanym obecnie ciekawym filmie o Mieszkku Pierwszym tytułowy bohater grać będzie raz z brodą a raz bez brody, by nie kępować widza w wyborze najbardziej odpowiadającej mu wersji. Równocześnie powiada się z niepokojem, że w tym filmie grał

Boryna przechowywany jest bez należytego szacunku.

NAJWYŻSZA KLASA

Pewien znany aktor telewizyjny i filmowy osiągnął już szczyt umiejętności aktorskich. Potrafi on pośliznąć się na skórcie od banana i przewrócić tak, że nie wywoła to ani jednego uśmiechu na widowni. Ale również potrafi odegrać śmierć sierotki na śniegu tak umiejętnie, że wszyscy boki zrywają ze śmiechu.

PEDAGOGICZNE „METODY”

W domu państwa Z. ze Zdunskiej Woli rozmnożyły się niesłychanie myszy. Córeczka państwa Z. bała się tych myszy i histeryzowała. Państwo Z. wpadli w tej rozpaczy na pomysł. Wyjaśnili córeczce, że to są Myszy Miki. Teraz ich córeczka nie boi się myszek i karmi je słoninką.



Fot. A. Krynicki

WALENTY KATAJEW

HAMLET

— Dziękuję, bądź pewien, że cie nie zawiodę. Takiego Hamleta zrobię, że wszyscy padną z zachwytu. Najważniejsze, żeby mi tylko dali tę rolę, a reszta to szczytność...

II.

Mijały lata: oto znowu spotkałem mojego starego przyjaciela Wasię. Teraz był to już zasłużony artysta, z brzuskiem, nosił bobrową czapkę, ale w jego oczach w dalszym ciągu płonął znany mi spród lat młodzieńczy ogień poszukiwań.

— Czy wiesz, stary, o czym ja marzę? — spytał po pierwszych pocałunkach i okrzykach. — Marzę, aby zagrać Hamleta.

— Jak to! Czy jeszcze go nie zagrałeś?

— Wyobraź sobie, że nie. Nie dają mi, dranie! Muszę ciągle grać ze współczesną szmizą: człowiek z karabinem, to znów człowiek bez karabinu... Zresztą to nawet lepiej: w tym czasie powstała u mnie absolutnie nowa, genialna koncepcja Hamleta. Bo mój Hamlet, to człowiek w wieku średnim, dobrze zbudowany, jak dawniej przystojny, z lekka siwizną na skroniach, z niewielkim brzuskiem, lubi sobie podjąć i wypić, żonaty, ale między nami mówiąc, nie gardzi pięknymi kobietami... No, jak się podoba?

— Znakomite.

— Pochwalasz?

— Oczywiście, robi!

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

ZAZDROŚĆ I MEDYCYNA

Z zadziwiającą szybkością zrzuciła z siebie suknię, potem z trząskiem rozpięła i o sobie gumowy pasek i wtedy poza pomarańczową jedwabną koszulką dała się wyczuć niezwykła, po trzykroć przekleśniona linia brzucha.

— Co ty robisz! — zawołał chirurg i podbiegł ku niej. Strzępy myśli przemknęły mu przez głowę. — Przecież po tym wszystkim to jest niemożliwe! — powtarzał.

Lecz niestety, było to całkiem możliwe. Przytuliła się do niego, poczuł jej ciepłe ciało. „O, jakże nieszczerliwie”, pomyślał, niedorzecznym miłosnym politowaniem, wyczuł jej zrozpaczone gorączkowe ruchy, pojął, że trzyma go się w tej chwili jak ostatniej deski ratunku. Bydłecy tragizm, udzielił mu się na duchu, czuł przejmujący ból, towarzyszący największej zmysłowej radości, chirurg wyszeptał błędnie: — Rebeke! — ale znowu na twarz narzucono mu maskę kobiecego chloroformu i żółte iskry zamigotały przed jego oczami. Było straszliwie niewygodnie, poduszki gnioty, wydawało się, że całe łóżko było zawalone przeszkadzającymi poduszkami, więc po chwili poduszki leżały na podłodze. Wszystkiego było za mało. Nie dało się ani wypić, ani położyć, ani włożyć tego najdroższego, zniecierpliwionego ciała, nie można było zatrzymać wymykającej się z najbardziej czułych ramion i pieszczot — miłości. Posłyszał gdzieś w oddali wstrząsający krzyk Rebeke: Ty mnie kochasz! Ty mnie kochasz na pewno! — Był to krzyk, który napłynął go strachem i jeszcze większą żądzą i tęsknotą. Krzyk przeszedł przez całe jego ciało jak strumień białego, gestego ognia.

— Ty mnie kochasz na pewno! Ja to wiem! Ja to czuję! — krzywała na cały dom.

Odszukał jej wargi i polykał jej krzyk razem z olbrzymim językiem, który zapelniał mu całe usta. W tej właśnie chwili

przeżył moment odprężenia i nasycenia, ale w tej właśnie chwili zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Tak. Innymi słowami tego nie dałoby się określić. „Coś takiego jest nie w porządku”, pomyślał. Był jednak do takiego stopnia jeszcze senny i rozbity, że nie potrafił nawet się zdziwić. W ogóle nie starczyło mu trzeźwości, aby zgadnąć, co się stało.

Rzecz zaś polegała po prostu na tym, że kiedy w wiadomym momencie otworzył oczy i spojrzął przed siebie w twarz Rebeke, nie zobaczył absolutnie nic prócz czarnej pustki. Czuł na swoich policzkach i nozdrzach jej gorący, gorzkawy oddech, włosy jej muskały go po policzkach, ale pomimo to nie widział nic prócz nieprzeniknionej nocy. „Coś takiego jest nie w porządku” pomyślał leniwie, ale w chwili następnej oprzytomniał, żywo podniósł się na materacu i obejrzał się. W pokoju było ciemno.

— Czy to ty zgasiłaś światło? — zapytał. Wyciągnął rękę i natknął się na trochę wilgotne nagie ciało. Rebeke siedziała obok niego.

— Nie podobnego — powiedziała spłoszoną, zdziwioną szepem.

Wtedy chirurg wyskoczył z łóżka i znowu natknął się na czyjeś nagie ramię. Poczuł nawet, że ramię drżało drobnym nieustającym dreszczem.

— Na pewno przepaliła się żarówka — rzekł uspokajająco — albo może sznur wyskoczył z kontaktu...

Zrobił krok w kierunku stołu, lecz zamiast stołu uderzył o fotel.

— Coż za głupi kawał? — rzekł.

Z drugiego kąta pokoju doszły go słowa Rebeke:

— Widzisz, nie damo się bałam — i słychać było, jak ręka maca po ścianie.

— Ależ nie się nie stało strasznego — odrzekł.

— Ja się nie damo bałam... wiedziałam, że coś takiego się stanie... powtarzała i wtedy chirurg, aby opanować strach, prawie krzyknął:

— Nie nie mów i bądź spokojna!... — W tej samej chwili przewrócił na stół szklankę, która spadła z wstrząsającym hałasem.

— Głupstwo, głupstwo — mruknął, a z kąta pokoju posłyszal brutalny szep:

— Zapalże przedź światło!

— Głupstwo, głupstwo — powtórzył i siłą nawyku uśmiechnął się martwym, szpitalnym uśmiechem, chociaż uśmiechu te-

go nikt nie mógł zobaczyć. Był już zupełnie spokojny i każdy ruch jego był ostrożny i obliczony. Zgrabnymi, przyczepnymi do najbardziej precyzyjnej pracy palcami obszukał cały stół, namacał lampę, odkręcił i wkręcił żarówkę, potem sprawdził kontakt — ale bezskutecznie. Lampa się nie paliła.

— Prawdopodobnie jest zepsuta — powiedział.

Jednocześnie rozległ się trząsk przekreśnianego kontaktu koło drzwi i usłyszał głos Rebeke:

— Druga lampa nie pali się również.

Widocznie teraz ona przewróciła jakiś przedmiot, gdyż coś z łomotem spadło na podłogę.

— Przewróciłam krzesło — posłyszal po chwili.

— Zaraz zapalę latarkę — odpowiedział.

Wydało mu się, że schował latarkę do kieszeni płaszcza, ale ku swojej złości tam jej nie znalazł.

— Gdzieś ja podzielałem? — zapytał.

Oczy jego szybko przyzwyczaiły się do ciemności, lecz w pokoju było dwa razy ciemniej niż w gabinecie rentgenologicznym, więc pomimo wszystko w dalszym ciągu nie widział nic.

W pewnym momencie coś go uderzyło w plecy, chirurg drgnął i szybko jakby broniąc się wyciągnął przed siebie ręce, rękami zaś dotknął chłodnawych i w tej chwili trochę miękkich piersi.

— Zaziebisz się — powiedział i ostrożnie po omacku zaprowadził Rebeke do łóżka. Czuł się głupio i był zirytowany całą tą przygodą. — Gdzieś, u licha, ta latarka! — mrucał. Na szczęście odszukał koło poręczy łóżka. — Mam! — krzyknął i odsunął guzik.

Silny promień przebiegł pokój, załamał się na ścianie i mglistą plamą światła odbił się na suficie, potem wędrując oświetlił drzwi, szafę, podłogę, wreszcie zatrzymał się na nagich, pięknych nogach. Po chwili jednak noga podniosła się, stała się ciemniejsza i chirurg zobaczył schylony tułów Rebeke, która szybko, prawie gorączkowo wciągnęła pończochy.

(Fragment)

Michał Choromański (1904-1972). Wybitny pisarz polski. W roku 1933 otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury za słowną powieść „Zazdrość i medycyna”. Wrocił do kraju w 1938 roku i od tego momentu datuje się renesans jego twórczości. Po wojnie napisał około 10 książek, z których najbardziej znane są: „W rzezy wstąpić”, „Koty beethovenowskie”, „Słowacki wysp tropikalnych” oraz „Scho-dami w górę, schodami w dół”.

DLA BRUNETEK i BLONDYNEK
NA BAL, NA ZABAWĘ I NA CO DZIEŃ

DOSKONAŁE
PERFUMY i WODY KWIATOWE

ZNAJDZIECIE W SKLEPACH

„ARGEDU”



WODY KWIATOWE

- ★ „Cool Jaz”
- ★ „Brokat”
- ★ „Narcyz”
- ★ „Jaśmin”
- ★ „Marzenie”
- ★ „BB”
- ★ „Chypre”
- ★ „Can-Can”

PERFUMY

- „Cleo”
- „Rosemarie”
- „Marica”
- „Zorina”
- „Dorina”
- „Clivia”
- „Parisjana”
- „Dafne”

1146/k

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skróć. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zastrzeżeniem na Odrogę. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź ul. A. Czerwonej 28 Zam. 292. C-4. Nr indeksu 37006